Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

NUMER POŚWIĘCONY KONSTANTEMU BALMONTOWI

WIADOMOŚCI LITERACKIE

Oddział „Wiadomości Literackich" w Paryżu, 123, boul. St. Germain, Księgarnia Gebethnera i Wolffa

Cena numeru w Paryżu zł. 1.—

Cena 80 groszy

TYGODNIK

Nr. 17 (173) Warszawa, Niedziela 24 kwietnia 1927 r. Rok IV

K. W. ZAWODZIŃSKI

Na przyjazd Balmonta

Jeżeli zważymy globalne dziś znaczenie literatury rosyjskiej, której czytelnicy rekrutują się nietylko ze stupięćdziesięciomiljonowej ludności państwa; jeżeli uprzytomnimy sobie bezwładność takiej masy, a więc konieczność gigantycznego pchnięcia, aby wywołać w niej przewrót, choćby upodobań literackich, — wyrośnie zaraz w naszych oczach znaczenie historyczno - literackie sprawcy rewolucji, która odbyła się około 1900 r. w postaci zwycięstwa t. zw. „symbolistów": przewartościowanie kompletne stosunku do poezji, rozkucie jej z więzów utylitaryzmu, a zwłaszcza (i tu nieskończenie większy wpływ Balmonta, niż jego starszych współtowarzyszy Minskiego i Mereżkowskiego) przywrócenie należnego stanowiska liryce, „czystej poezji", poezji wierszowanej.

Kto zna i pamięta Rosję z przed trzydziestu lub nawet dwudziestu lat, ten wie jak radykalny, a symplicystyczny krytycyzm Rosjan typu Bazarowa (umysłowość przecie dla całej ówczesnej inteligencji najcharakterystyczniejsza — od pisarza gminnego aż do kół uniwersyteckich włącznie) gardził „nieracjonalną" mową wiązaną. Lecz już w tym czasie legjonom panien prowincjonalnych hasło „sztuka dla sztuki" i piękno formy poetyckiej objawiały się w zabłąkanych pod Smoleńsk, Kaługę czy Irkucka tomikach lub pojedyńczo przedrukowywanych wierszach Balmonta. A dziś w Rosji poezja wierszowana wysunęła się na czoło gatunków literackich; działa „cech poetów; pracują laboratorja studjów wierszopiskich; w najzapadlejszej prowincji wre praca nad kunsztem poetyckim; istnieją zastępy odbiorców produkcji poetów; z tych zastępów, najbardziej demokratycznych, mogą wychodzić genjalni poeci, jak Jesienin. Datą w tych dziejach jest imię Balmonta.

Albowiem, podobnie jak współczesnej i analogicznej „Młodej Polski", rosyjskiego „symbolizmu" początki z obcych zakiełkowały ziaren. Rola Balmonta przypomina niemało Langego i Miriama — tłumaczów, a propagandowe znaczenie— tak zresztą różnego pod każdym względem „wielkiego Przybysza".

Sama postać Balmonta nieswojskie robiła i dotąd robi na współrodakach wrażenie. „Ptak zamorski", niesamowicie ubarwiona papuga z gorących krajów — takich porównań używają krytycy, aż do najnowszych, do Erenburga, pisząc o nim. Do niego możnaby też zastosować jego własne określenie Oskara Wilde'a: Czuryło Plenkowicz, strojniś z bylin starorosyjskich, odziany z jakimś przepychem diagilewsko - bakstowskim, z parasolem— słonecznikiem w ręku, według hipotez uczonych cudzoziemiec, może z Zachodu, może Polak, w każdym razie obdarzony cechami psychicznemi mało sympatycznemi dla Rosjan, przypisywanemi przez nich Polakom, pyszałkowatą próżnością, potrzebą pokazania się: „zastaw się a postaw się".

Bądźcobądź także gorące polskie sympatje Balmonta (o czem niżej) są dowodem odmiennej od reszty jego rodaków konstrukcji duchowej. Odmienność tę koleje losu mogły tylko pogłębić. Rzadki gość w ojczyźnie, dwukrotny wygnaniec polityczny za caratu, przedtem jeszcze zieździł Europę, szczególniej Anglję i Hiszpanję, a potem nieomal świat cały: Meksyk i Egipt, Japonję i Jawę, Polinezję, Australję i Nową Zelandję; dziś znów od ośmiu lat przebywa na emigracji. Obce kraje i ludy, ich sztuka i religje były natchnieniem olbrzymiej ilości, bodaj większości utworów. Jaskrawie mieni się w nich podzwrotnikową barwą słów couleur locale przedziwnego odczucia i natężenia; ciekawość wysiłku twórczego artystów wszystkich sztuk i wieków znajduje upust w oryginalnych poezjach im poświęconych, w przekładach i studjach krytycznych.

Zdolności do odczuwania i wcielania się w obce nie przeczą pełne zachwytu obrazy przyrody ojczystej, zmęczonej pieszczotliwości nieba północnego, nawet całe książki wierszy, poświęconych Rosji, choćby jedna z ostatnich („Moje — jej", Praga 1924). Jest w Balmoncie ta co i w Puszkinie wszechludzkość i wszechświatowość, za które tak sławił największego poetę Rosji Dostojewskij w swej historycznej mowie, jaskrawsze nawet, powiedzmy, zewnętrzniejsze, ze szkodą przytem może dla zagłębienia się w treść duszy narodowej. Pozorna ta sprzeczność nie jest jedyna ani największa u Balmonta. Uważany za jednego z pierwszych poetów miejskich, nietyle może z powodu wyboru tematów, co z powodu ich traktowania, migającej zmienności impresyj, ileż poetycznych stronic poświęcił on wsi, przyrodzie ledwie lub wcale nie dotkniętej przez człowieka. Najpiękniejsze może wiersze jego wypełnione są najprzenikliwszem i najsubtelniejszem współodczuwaniem i współczuciem dla kwiatów, źdźbeł, traw przydrożnych (np. w „Bądźmy jak słońce"), a obok odany patos astronomiczny mknących w bezmiary wszechświatów i wszechwiedzącej myśli ludzkiej (w „Płonących gmachach"). Wszystkie katarynki ograły jego rodomontady donjuańskie, zdobywczy pożar zmysłów, epatujący niegdyś pruderję rosyjskiego czytelnika; jeden z najbardziej skondensowanych utworów zawarł w skąpą i ścisłą formułę miłość — nienawiść: „dusza z duszą, jak nóż z nożem, jak dwie studnie wzrok ze wzrokiem...", a przecież nie było idylliczniejszego piewcy miłości, „śliczniejszej niż polska panienka, a więc najśliczniejszej na ziemi", erotyków bardziej dla „Bibliothèque Rose", niż w jego książkach. Wrażliwy entuzjasta piękna, nie żałujący hymnów na jego cześć, gdy je znajduje, niestrudzony poszukiwacz, w przyrodzie czy w sztuce, w niemniej entuzjastycznych, przedziwnych w swej plastyce poezjach sławi potwory, okropności i męczarnie.

We wspaniałych, jak błysk stali, zwinnych jak przepełznięcie złowrogiej żmiji (którą „od dni dziecięcych zachwycał się, jak obrazkiem"), wierszach, nienawidzi świętych, gardzi rajem i tępą ekstazą ubłogosławienia, a tuż, w najcudniejszym poemaciku, pisanym w tych samych latach, urzeczywistnia jakby zupełną dematerjalizację słów, któremi oddaje niebo chrześcijańskie, tworzy coś jakby skondensowany, odciążony z balastu filozoficznego raj dantejski („Fra Angelice" z „Bądźmy jak słońce").

Niebrak motywów smutku, tęsknoty, filozoficznego pesymizmu i metafizycznego niepokoju; obok nich jednak, przeważając i nadając charakterystyczny ton jego twórczości,—radość życia, radosna wola istnienia, burzliwa afirmacja świata, widzianego w przepychu poprzez pryzmat marzenia, wyrażona zuchowatemi słowami conquistadora w sławnym wierszu:

„Jako Hiszpan oślepiony wiarą w Boga
i miłością"...

Ta kontrastowość, wielostronność, uniwersalizm nadludzki musiały znaleźć odpowiednio szerokie ramy w twórczości poety. Kolosalna jego produkcja nie do samej poezji się ogranicza: czytam np. teraz obszerną powieść „Pod nowym sierpem księżyca" (1923), wysnutą ze wspomnień dzieciństwa, ważny przyczynek dla dziejów kształtowania się poety; najważniejszym jednak działem jego prozy są szkice literackie, świadczące o szerokich chronologicznie i geograficznie zainteresowaniach.

Poliglotyzm, umożliwiający bezpośrednią znajomość najegzotyczniejszych piśmiennictw, erudycja zrodzona z entuzjastycznego ukochania poezji, tworzą istotne wartości tych essayów; lecz nawet gdy pisze o literaturze rosyjskiej, gdzie i o kontrolę łatwiej i egzotyką oczu się nie zamydli, daje często rzeczy bardzo cenne: np. studjum o Niekrasowie, tak odmiennym przecież poecie, jest najlepszem o nim studjum, jak to już zauważył stary Pypin, jak to stwierdza surowy bardzo względem niego krytyk Czukowskij.

Oczywiście jednak gros jego produkcji — to poezja. Rachubę tomów utracili już dawno krytycy, zarzut czyniąc mu zbytniej płodności. Pewnie, niejednego wielkiego poety jest ona przekleństwem, każdego sławie wyszłaby na dobre zdolność ograniczenia się do jednego tomu— czemuż innemu zawdzięcza José de Hérédia swą nieśmiertelność? Ale cóż na to poradzić można? że zastosuję tu poetyczną przypowieść Garszina, jak „Attalea Princeps" rośnie wzwyż, nie licząc się z wysokością dachu oranżerji, aż ścinają ją ludzie, którym już wielkość jej zawadza, tak i poeta ustępuje wciąż nakazowi twórczemu, choć przez to musi przekroczyć i granice wrażliwości na jego poezję u czytelnika, a jeszcze przedtem granice syntetycznego ujęcia jego dzieła u krytyka. Choćby to był Wiktor Hugo, każdy nowy wiersz jest mu krokiem nietylko na Kapitol, lecz i do Skały Tarpejskiej.

Gdy wyciągniemy z półki, zastawionej dziełami Balmonta, jakikolwiek tom wierszy i gdziekolwiek go otworzymy, napewno spotkamy utwór wielkiej wartości, zwłaszcza gdy porównamy go nie z dzisiejszą poezją jego w mniejszym lub większym stopniu uczniów, gdy elementarne wydają się niektóre jego efekty, aliteracje wobec osiągnięć np. Błoka, lecz z poziomem panującym w poezji rosyjskiej w chwili, gdy Balmont zaczął pisać. Nic dziwnego, że olśnił, że zdobył przebojem Rosję. Tryska tu niewyczerpane źródło natchnienia najkunsztowniejszemi fontannami. W dziedzinie rytmiki, rymiki, ekspresji dźwiękowej — sztukmistrz nie znający granic swej sztuki, władztwem nad mową słusznie, wzorem Słowackiego, się szczyci, w słynnym wierszu: „Jam wytworność rosyjskiej powolnej mowy..." Wszystko mu łatwe, wszystko dostępne; jak wiatr swobodny, prawom niepodległy, wzbija tumany słów mieniących się barwą drogocennych kamieni (których nazw, jak Słowacki, używa często i nadużywa). Lecz oślepia nas w końcu ta kurzawa słów, gubimy w niej drogę. „Słowa - kameleony" łudzą nas ciągłą zmianą koloru i kształtu, zatracają właściwe i jedyne znaczenie, przestają być niezawodnym środkiem ekspresji. Kondensacje, do których poeta, jak to dowiódł niejednokrotnie, jest zdolny, nikną w tłumie nabrzmiałych tyrad. Wszystko do czego się dotknie rozrasta mu się, puchnie słowami, Upojony twórczością, niepohamowanym rozpędem słownym, wzlatuje ponad ziemię matkę, traci z nią związek konieczny, anteuszowy; w tęczę wielobarwną zmieniony, traci podporę granitów.

Umyślnie użyłem ostatnich słów, żeby jeszcze raz zwrócić uwagę na podobieństwo Balmonta do Słowackiego. Rzuca się ono w oczy nietylko w pewnych zewnętrznych cechach poezji (obfitość, wielomówność, hiperbolizm, operowanie biżuterją, przekładom jego robiono zarzuty, które zastosowaćby można do przekładu „Księcia niezłomnego"), lecz w istotnych właściwościach psychicznych poetów: eteryczność, arealizm, egzotyzm, obcość wśród własnego społeczeństwa, wstręt do codzienności. Nawet można zauważyć, że wysiłki przezwyciężenia tego wstrętu u Słowackiego są skuteczniejsze niż u Balmonta. Ten, gdy pisze powieść o życiu wsi rosyjskiej, przetwarza wszystko w jakieś baśnie wróżek, „fiejnyja skazki" (tytuł jednej jego książki); jaszczurka - melomanka i śpiewająca myszka są bohaterami tej poetycznej feerji, którą świat i przyroda są dla Balmonta.

W epoce Młodej Polski jakiś znajomy Polak widać musiał zwrócić uwagę Balmonta na Słowackiego przedewszystkiem. Lecz tylko podobieństwem organicznem wytłumaczyć można stałe, wieloletnie, żarliwe zajęcie się Słowackim. Niema prawie książki bez cytatu z naszego poety; pisał o Słowackim kilkakrotnie, studja o nim doczepiając czasem pod błahym pretekstem do jakiejś liczącej na szeroką popularność książki: np. o „Śnie srebrnym Salomei" drukował jako aneks do swych komentarzy „Salome" Wilde'a, w czasie mody w Rosji na tego pisarza; przełożył i wydał w jednym tomie „Balladynę", „Lillę Wenedę" i „Heljona—Eoljona"; i w ostaniej jego książce, jaką mam w ręku, w zbiorze imnpresyj i kartek z pamiętnika „Gdzie mój dom" (1924), znajduję dziesięciostronicowy wybór myśli Słowackiego, poprzedzony znowu serdecznem słowem wstępnem.

Ale sympatja do Polski i jej literatury nie ogranicza się do kultu Słowackiego i datuje się oddawna. Nie wiem, jaką rolę w jej genezie odegrała w młodzieńczych latach Balmonta Polska, której poświęcony jest już wyżej cytowany wiersz (w przekładzie Tuwima) „Najśliczniejszy"; już w alamanachu „Skorpjona" z r. 1903 znajduję w entuzjastycznym wierszu Wiktora Hofmana pochwałę jego wierszy, że są „piękne i delikatne jak pocałunki polskiej panny", — tak zrosło się z polskością dla ziomków Balmonta jego oblicze. W dziełach jego pełno cytatów z „Nieboskiej"; romantyzm polski był przedmiotem szkicu „Fletnia z kości człowieczych"; usłyszymy odczyt o Kasprowiczu, owoc długoletnich studjów; przy każdej okazji wynoszone są cechy naszego charakteru narodowego; Polak jest sympatycznym bohaterem powieści. Przy znanym i powszechnym stosunku Rosjan do Polski już te jego sympatje są jeszcze jednym rysem egzotyczności. Wytłumaczenie znajdziemy może w powinowactwie duchowem.

Sergjusz Gorodieckij w pięknym wierszu, zdaje się z 1913 r., daje paralelę Rosji i Polski, gdzie Polska nie bez trafności porównana jest do porywającego się zawsze w górę płomienia.

Takim też płomieniem lekkim i wiecznie w górę wzlatującym jest Balmont.

SERGJUSZ KUŁAKOWSKIJ

Poezja—sztuką czarodziejską

Jest wiersz Baudelaire'a o albatrosie— władcy przestworzy, żałośnie wlokącym skrzydła po pokładzie okrętu, na którym się znalazł wśród wesołych majtków. Tłumaczenie tego wiersza ogłosił przed 35 laty Konstanty Balmont w zbiorze anonimowych przekładów z Baudelaire'a i nieraz używał w stosunku do siebie poetyckiego porównania do albatrosa.

To też mimowoli przychodzi na myśl ten wiersz, gdy spoglądamy na portret Konstantego Balmonta pędzla Walentyna Sierowa. Bezradnie opadły skrzydła Feniksowi symbolizmu rosyjskiego. Pożarty przez własne płomienie, odradza się z popiołów, by śpiewać swą pieśń na najbujniejszem drzewie ogrodu rajskiego.

Aleksander Błok — ten najbardziej liryczny poeta rosyjski — dlatego właśnie cenił Balmonta wyżej, niż Briusowa, iż widział w poezji jego lirykę przesiąkniętą intuitywizmem.

Już w pierwszym zbiorze swych poezyj występuje Balmont jako liryk najczystszej wody. Czego żądał poeta od poezji lirycznej? Oto odpowiedź: „Świat jest rozbrzmiewającą muzyką, świat cały jest rzeźbionym wierszem"; formułę tę stworzył zresztą Balmont o wiele lat później. Poezja jest sztuką czarodziejską, gdyż słowo jest cudem.

O prawdach tych zapomnieli poeci rosyjscy drugiej połowy w. XIX. Element muzyczny ustąpił był miejsca ideologji, i poeci nie należący do żadnego prądu ideologicznego pozostawali w cieniu. Czekała urzeczywistnienia zasada Verlaine'a: „De la musique avant toute chose", niezbędny był nawrót do formalnych zagadnień sztuki wierszowania. Oto dlaczego pierwszy poważny zbiór wierszy Balmonta p. t. „Pod siewiernym niebom" zaopatrzony jest w podtytuł o treści formalnej: „Elegje, stance, sonety". Balmont tłumaczy. Tłumaczy nieznużenie, ucząc się w ten sposób od innych.

Lecz sławy swej nie zawdzięcza Balmont ani niezliczonym przekładom, ani dramatom symbolicznym (np. „Tri rascwieta"), ani zbiorom artykułów (dwa tomy p. t. „Gornyja wiersziny"), ani też opowiadaniom, ani nawet powieściom. Nazwisko Balmonta jest nierozerwalnie związane z jego zbiorami „Goriaszczija zdanja" i „Budiem kak sołnce" — dwoma rozdziałami objawienia w piorunach i burzy. Trzy stopnie prowadzą do zbioru „Goriaszczija zdanja". Są to ciche i skromne książki: „Pod siewiernym niebom", „W bezbrieżności" i „Tiszina". O półzmroku między dniem a nocą pisał poeta te wiersze, subtelnie osnute złocistemi oparami. Wieczna „musicienne du silence" objawiła mu „w godzinę milczenia wszechświata" (słowa Tiutczewa) niezgłębioną muzykalność wiersza rosyjskiego.

W słowach Balmonta brzmi muzyka nowa i dotąd nieznana, Hojnie szafuje poeta rymami daktylicznemi, aliteracjami samogłoskowemi i innemi zasobami technicznemi. Zapomocą wiersza złożonego z ośmiu choreów potrafi Balmont w pełni wyzyskać dźwięczność peanów. Niemniej nowe i niespodziewane rezultaty osiągnięte zostały przez umiejętną eksploatację alternacji, asonansów, aliteracji i osobliwości budowy strof. Już w zbiorze „Pod siewiernym niebom" ukazał się po raz pierwszy znakomity „Czołn tomlienja", oparty wyłącznie na aliteracjach:

Wieczer. Wzmorje. Wzdochi wietra.
Wieliczawyj wozgłas wołn.
Blizko buria. W bierieg bjotsa
Czużdyj czaram czornyj czołn...

Powtórzenie spółgłosek „w" (w pierwszym wierszu), „w" i „l" (w drugim), „b" (w trzecim), „cz" i „r" (w czwartym) wytwarza melodję burzy, rozwijającą się w strofach następnych.

Trzy książki — lata 1894, 1895, 1896— zawierają wiersze należące do zarania twórczości Balmonta. W zbiorach tych postać poetycka Balmonta już się w zupełności skrystalizowała. Do dyspozycji poety stoją najróżnorodniejsze środki muzyczne, z których w całej pełni korzysta.

Z kolei powstaje przed Balmontem zadanie wykazania się umiejętnością rzeźbienia wiersza, hartowania i odlewania obrazów poetyckich. „Wiem o istnieniu dwóch bogów: boga spokoju i boga ruchu. Obydwu miłuję. lecz niedługo przebywam z pierwszym... Już dosyć... Oddaję się władzy boga świata... Straszno mi. Słodko"...

Z tej zmiany nastrojów i przeżyć duchowych powstał zbiór p. t. „Goriaszczija zdanja" (1900), dokument okresu przejściowego. Ostatecznie porzuca tu Balmont łagodne barwy, jaśniejące „Pod siewiernym niebom".

Na południu kwitną goździki, nad purpurę krwawsze, głóg nad róże piękniejszy. Na południu zieleńsza jest wiosna. Poeta północy staje się Hiszpanem. Dokonywa się „metampsychoza", nowe moce roztaczają nad nim nieprzemożną władzę, bez zmiany pozostaje jedynie zasada twórczości — muzyka. I oto znów rozbrzmiewają peany ośmiostopowych wierszy choreicznych:

Jako Hiszpan oślepiony wiarą w Boga
i miłością,
Krwią swą własną upojony i krwi cudzej
czerwonością,
Chcę przodować ziemiom, wodom, chcę,
by świat mi hołd swój złożył,
I chcę kwiatów purpurowych, którem
wszędzie, wszędzie stworzył.

Poeta staje się rozrzutnym szafarzem słów i obrazów poetyckich, duszę poety ogarnęły płomienie:

Teraz — gmachów chcę płonących,
Teraz chcę ryczących burz.

Zdumiewa bogactwem tematów. Tworząc obrazy egzotyczne, odaje się całą duszą rozkoszom muzycznym. I mimo to, gdy trzeba, potrafi zdobyć się na prawdziwą majestatyczność rytmu i oszczędność w doborze słów.

Pełne melodji wiersze „Wspomnienie z Amsterdamu" w zbiorze tym są jakby umyślnie umieszczone tuż obok opisu Islandji, graniczącego w swej prostocie niemal z prymitywizmem. Ubóstwo barw krajobrazu północnego oddane jest tak po znakomicie, że nawet mistrz słowa, surowy sędzia, Briusow, rzekł w te słowa: „Prozą i wierszem opisał Balmont wszystkie kraje, które zwiedził. Lecz najpiękniej opisał Islandję, kraj, w którym nigdy nie był." Ta nad wyraz szeroka skala możliwości poetyckich jest również niezmiernie charakterystyczna dla okresu rozkwitu jego twórczości.

W trzy lata po wydaniu „Goriaszczich zdanij" ukazał się nowy zbiór poezyj: „Budiem kak sołnce". Cała książka stanowi jakby warjację na temat z Anaksagorasa: „Na świat ten przyszedłem, by ujrzeć słońce". Poeta szuka natchnienia w czterogłosie elementów i pożarty przez ogień oczyszczający, znów się odradza z popiołów. Pod względem formy zewnętrznej zbiór ten odznacza się taką rozmaitością i bogactwem, że jej szczegółowa charakterystyka byłaby zadaniem wykraczającem poza ramy zwięzłego artykułu. W dziedzinie słowa rozrzutność poety aż lękiem napawa czytelnika.

Poeta kroczy dalej zwycięskim szlakiem i sugestjonuje czytelnikowi swą pewność siebie, gdy ze słuszną dumą woła:

W słowach moich powolna mowa Rosjan
się kwieci,
Zwiastunami mojemi byli dawni poeci,
Jam przedziwne w niej odkrył uchylenia
i dźwięki,
Ton rozśpiewny i gniewny, przeczulony
i miękki.

Jam grający jest grom,
Nagły zygzak lub złom,
Jam przejrzysty jest zdrój,
Wszystkich, niczyj i swój...

Jakby umyślnie, Balmont staje się najniespodziewaniej klasykiem w drugiem „credo" z tegoż okresu. Znajdujemy tu nietylko nastroje „hiszpańskie", lecz również cechy wspólne ze „Sztyletem" Briusowa i jego protoplastą, „Sztyletem" Lermontowa. A przecież na stali toledańskiej lśni napis „Sin miedo" („Bez strachu")! Niepodobne jest to „credo" do poprzedniego wyznania wiary i wiele ma cech wspólnych z Briusowym, mimo sprzeczności biegunowe, które najlepiej ilustruje fakt, że Briusow ściśle klasyfikuje swe wiersze podług tematów, Balmont zaś tytuły do rozdziałów dobiera stosownie do nastrojowych motywów przewodnich. Myśl, którą Briusow ujmuje w symbol, Balmont stara się oddać nastrojowo (impresjonistycznie). Nie oznacza to bynajmniej, by Balmont nie potrafił panować nad formą i obrazowością poetycką. To też słusznie Briusow dedykował „K. D. Balmontowi — poecie i bratu" zbiór „Urbi et orbi" (1903), najdoskonalszy pod względem formy. Tak samo Balmont poświęcił Briusowowi w zbiorze „Budiem kak sołnce" rozdział „Chudożnik — djawoł", zawierający tercyny wyjątkowo doskonałe pod względem formy. Z wierszy tych najciekawszy jest „Bezumnyj czasowszczik", o konstrukcji opartej na zasadniczym obrazie muzycznym. I nadal więc muzyka pozostaje podwaliną twórczości Balmonta. Zbędne byłoby powtarzanie, jak różnorodny i bujny jest talent Balmonta w tym najświetniejszym z jego zbiorów.

W utworach późniejszych poeta zdumiewa znowuż prostotą i szczerością (zbiór „Tolko lubow'"). Czytając te wiersze o znużonej czułości, o chłodnych wyżynach i ginących w oddali przestworzach przyrody rosyjskiej („Bezgłagolnost'"), powracamy, zda się, do „Tisziny", do owego szarego krajobrazu północnego, który poeta porzucił, szukając znoju słońca południowego.

Ów boży dar prostoty kwitnie zaiste poetycką rozkoszą w wydanej r. 1905 książeczce „Fiejnyja skazki" („Bajki wróżek"). Są to zachwycające bajki dla dzieci o wróżce, o gnomach, owadach, roślinach. Poeta, mający w sobie tyle wewnętrznej, dziecinnie słonecznej prostoty, mówi językiem naprawdę dziecinnym, pozbawionym wszelkiej sztuczności.

Tymczasem ów drugi Balmont—poeta czarodziej — wydał w r. 1905 zbiór „Liturgja krasoty" i w r. 1906 „Złyja czary". Po księdze objawienia te hymny na cześć ognia i zaklęcia (niektóre na tematy ludowe) nie wywierają już wielkiego wrażenia.

W symbolizmie rosyjskim odradza się narówni z egzotyzmem zainteresowanie motywami ludowemi. Nietylko „Złyja czary" świadczą o tym nawrocie do poezji ludowej. Zbiór cały p. t. „Żarptica" (1907) poświęcony jest parafrazom bylin, pieśni historycznych, liryki ludowej. Przepiękna okładka, wykonana przez znakomitego Somowa, nic w danym wypadku nie miała wspólnego z zamierzeniami poety, który zresztą nie zdobył się tu na prostotę „Fiejnych skazok". To samo dotyczy następnego zbioru „Ptica w wozduchie", parafrazującego rosyjskie pieśni religijne, oraz zbioru „Zielonyj wiertograd", złożonego z przeróbek pieśni sektantów rosyjskich. Coprawda, na gruncie „Żar - pticy" wyrósł autor „Peruna" Sergjusz Gorodieckij, lecz poeta ten zawiódł oczekiwania zarówno swego mistrza i szkoły symbolistów, jak i akmeistów, do których się później przyłączył. Lecz i w tym zbiorze rozbrzmiewają czasem wiersze o niezrównanem mistrzostwie, trafiają się nawet w tym okresie jego twórczości utwory wręcz genjalne, jak np. „Zwiezdolikij" („Zielonyj wiertograd"), z którym pod względem doskonałości formy, rozmachu rytmicznego i napięcia poetyckiego może rywalizować chyba tylko „Bezumnyj czasowszczik".

Dalej następują zbiory: „Chorowod wriemion" (1909), „Zariewo zor'" (1912), „Biełyj zodczij" (1914), „Soniety sołnca, mieda i łuny", „Jasień" (1916), wreszcie „Pierstień" (1920) i „Siem' poem" (1922).

A stosunek do współczesności? Za swój stosunek do współczesności zaznał Balmont niedoli wygnania i dopiero w r. 1907 wydał w Paryżu swe „Pieśni mstitielia". Podczas pobytu w Paryżu w owych latach zaprzyjaźnił się z Janem Kasprowiczem.

Lecz poetą - obywatelem lub poetą - rewolucjonistą nie był Balmont nigdy. Hymny na cześć rewolucji 1917 r. („Rewolucjonier ja ili niet", „Pieśni rabocząwo mołota") nic nie dodały do jego wieńca chwały. Zresztą poezyj rewolucyjnych Balmont nie umieścił w żadej ze swych antologij jubileuszowych („Zwienja", 1890 — 1912, i „Sołnieczna priaża", 1890 — 1922).

Pozostałe zbiory wierszy przedrukowywał Balmont po r. 1908 jako zbiór dzieł, w wydawnictwem „Skorpjon", lecz edycji tej nie doprowadził do końca.

Tak oto sam poeta zbierał owoce swej pracy. Zawsze pozostając wierny sobie i czujny na oddźwięki życia, był Balmont echem nie wypadków współczesnych, lecz owych melodyj kosmicznych, niezrozumiałych dla niewtajemniczonych. Ten senjor symbolizmu rosyjskiego (ur. w r. 1867) przeżył wielu swych towarzyszy, zarówno starszego (Briusow) i młodszego (Błok) pokolenia, lecz przez całe swe życie był tym „natchnionym z niebios" („wdochnowiennyj swysze"), jak powiedział Puszkin o Mickiewiczu.

KONSTANTY BALMONT

ORLE SKRZYDŁA*)

Piękne są orle skrzydła, które szybują w niedosięgłych przestworzach powietrza. Ucho człowieka, lubiącego piąć się na szczyty górskie i obejmować ogrom przestrzeni, odróżnia w ich szumie, w ich swobodnym szeleście śpiew, bo muzyka lotu orlego jest często melodyjniejsza od słodkiego śpiewu ptaków. Umysł ludzki nie może zatrzymywać się na tem, że orzeł rozszarpuje swoją zdobycz; ale poprzez wieki, poprzez liczne tysiąclecia wybiera orła za swoje godło, widzi go w swych natchnieniach, umieszcza jego podobiznę na ścianach swych świątyń, bo orzeł, który żyje samotnie i lubi latać w najbardziej bezludnych i niedostępnych strefach powietrza, poucza człowieka o wielkiej wolności i wielkiem zarazem osamotnieniu.

Tak, jest on orłem o zwroku przeszywającym, orłem legend proroczych, który swoim orlim głosem zwiastuje nieomylne wyrocznie.

Piękna jest postawa, chód i cały wygląd lwa; głos jego to drżenie stworzeń, skok jego to zdecydowane przeznaczenie, a ciało to wzór siły i woli. Nie widzieć lwa w jego pustyni, nie podziwiać go nigdy, to znaczy tyle, co pozostać ubogim. Widzieć go choćby ukradkiem, to pojąć głębokość trwogi i rozmach odwagi, to poznać nieskończenie coś ważniejszego niż marzenia codzienne, to zrozumieć, dlaczego narody rywalizują w zaszczycie wyboru podobizny lwa jako godła i symbolu.

Tak, jest on lwem, który, czując cierń w swej potężnej łapie, idzie do św. Hieronima po radę. Jest świętym lwem, który, zmęczony sprawami osobistemi i różnemi przejściami, potrafił nieraz wykonywać całkiem zwyczajną i prostą pracę; swojem uchem wyczuwał szemrania ludzkie, mądre lub naiwne, o wieczności, mimo że żaden z tych głosów ludzkich nie potrafił zadowolnić jego lwiej duszy.

Nie widzieć lwa i orła, nie widzieć krańca ziemi, nie widzieć kwiatów najrzadszych, kobiet najpiękniejszych, najszlachetniejszego z ludzi, to byłoby szaleństwem, mówiłem sam do siebie — akurat ćwierć wieku temu. Muszę widzieć Leona Tołstoja — napewno go zobaczę.

Dzięki szczęśliwemu losowi mogłem się z nim wkrótce spotkać. Zanim opowiem, co miały niezapomnianego te dwa spotkania, chciałbym przedtem zadać sobie jedno pytanie: czego szukałem w tem spotkaniu z wielkim, genjalnym Leonem Tołstojem — w tym właśnie czasie, kiedy wszystko wydawało mi się dostępne i łatwe do spełnienia. Oto chciałem widzieć tego, który, jako młodzieniec, w pierwszym poemacie o sobie, mianowicie w zadziwiająco pięknem opowiadaniu „Kozacy", rzucił jak hasło (lub może niedbale upuścił, — był przecież prawdziwym Mistrzem) nieśmiertelne słowa: „...Lecz Olenin odczuwał zbyt silnie w sobie obecność wszechmocnego boga młodości, tę zdolność zamiany siebie w jedno pożądanie, w jedną myśl, zdolność urzeczywistnienia słów „chcieć — to móc", rzucić się głową na dół w przepaść bez dna, nie wiedząc w jakim celu i z jakiej racji. Nosił w sobie tę świadomość, był z niej dumny, nie zdając sobie z tego sprawy, i szczęśliwy". Oto słowa niewyczerpanej piękności. Tkwi w nich cała potęga serca i szczerość przenikliwego umysłu.

W jesieni 1901 r. byłem w Jałcie na Krymie, gdzie zaprzyjaźniłem się z Czechowem, spokojnym, dobrym i w miarę ironicznym Czechowem. Pewnego dnia powiedział mi: „Czy pan wie, że Leon Tołstoj jest w Gaspra? A możeby pan kiedy zechciał, abym go zaprowadził do niego?" Zawsze przesądny, zadrżałem z radości: oto nie próbowałem jeszcze nawet wyobrazić sobie okoliczności sprzyjających, a one już nadeszły. Rozumie się, że z całej siły pragnąłem odwiedzić Tołstoja i nazajutrz w trójkę — Czechow, Gorkij i ja — udaliśmy się do niego.

Urok bije i promieniuje z gór Krymu. Wprawdzie nie ten potężny czar, który zawładnął na Kaukazie Oleninem, zmuszając go do przyłączenia do wszystkich zachwytów: „Oto góry!" Mur zlekka fioletowy, który wznosi się szańcem na drodze z Jałty do Gaspra, jest jedyny w swojem czarodziejstwie. Czechow i Gorkij nie przestawali rozmawiać z ożywieniem. Ja milczałem, odczuwałem bowiem nieśmiałe szczęście. „Wkrótce go zobaczę, Jego..." Tak podchodzi się do spowiednika, tak idzie się do ślubu.

Tymczasem musieliśmy przejść przez jakieś dobra cesarskie. Robiono nam przy przejściu pewne trudności, ale dało się je przezwyciężyć szybko i taktownie. Gorkij jednak buntował się: „Ja im... Idziemy... Ja mam prawo... Ja..." Wydało mi się to nierozumne i nie na miejscu. Czechow żartował i śmiał się ze wszystkiego, opowiadał nadzwyczajne anegdoty o czynach Tołstoja w młodości i w latach późniejszych. Wydawało mi się niestosowne, by iść do Tołstoja i tak myśleć, tak mówić... W bezgranicznej szczerości uczucia, które mną owładnęło, próbowałem wyobrazić sobie nasze przybycie do Mistrza, pytałem siebie, jakie wiersze mu przeczytam... Napewno, w których jest mowa o górach, o szczytach:

„Wejdź na szczyt,
I pozostań jak promień zachodzącego słońca,
Przekrocz krańce,
Skąd nie powraca się już".

Od chwili przyjścia, kiedy wprowadzono nas do pokoju Tołstoja, a Mistrz na widok Czechowa wykrzyknął: „Pan nareszcie u mnie!" — zrozumiałem, że ton głosu człowieka, przed którym pochyla się nasza dusza, posiada nieskończenie więcej wyrazistości, niż najbardziej wymowne słowa. Słyszę jeszcze ten głos: w jego dźwięku mieści się cały czar tej niezwykłej osobistości, tkwi uderzająca piękność duszy ludzkiej, zadowolonej ze spotkania z drugą duszą.

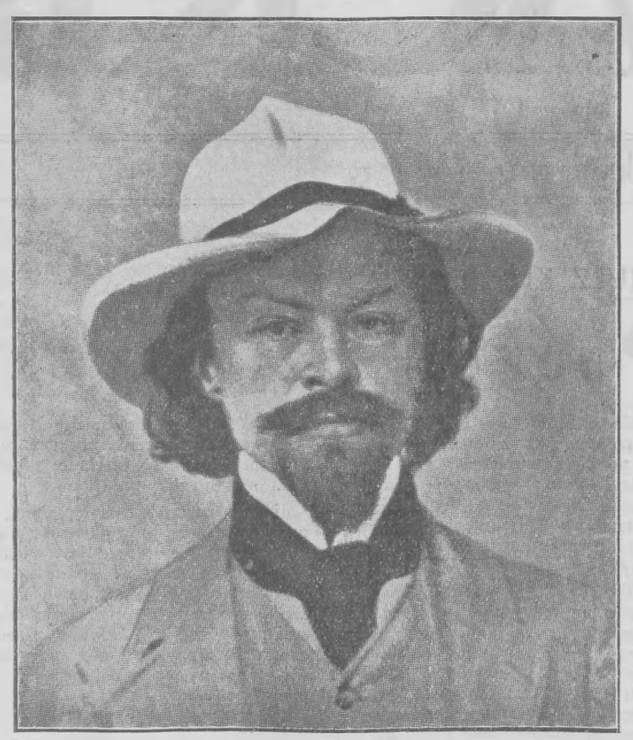

K. D. BALMONT

Rozmowa nasza dotyczyła różnych tematów, ale zawsze z dziedziny literatury. Tołstoj mówił z entuzjazmem o powieściopisarzach francuskich i wychwalał, ku wielkiemu i niememu zdziwieniu z mej strony, „Pamiętnik pokojówki" Oktawjusza Mirbeau. Wkrótce wyruszyliśmy z powrotem. Po tem pierwszem spotkaniu czułem się wielce nieszczęśliwy. Nie dlatego, rozumie się, że nie znalazłem wtedy sposobności, by przeczytać Tołstojowi choćby jeden z moich najdrobniejszych wierszy. Tylko że, poza życzliwym głosem i wytwornością genjalnego oblicza, dusza moja nie zyskała innego zadowolenie. Natomiast Czechow i Gorkij zauważyli, że Tołstoj używa za często wyrazów obcego pochodzenia — musiałem z bólem na to się zgodzić, odczuwając jednocześnie głęboką niechęć ku nim za słowa w tej kwestji. Postanowiłem sam jeden zobaczyć się z Tołstojem, bo poprzednio, pozostając tak krótko w jego towarzystwie, nie mogłem należycie go poznać.

W kilka dni później przypuściłem jakby zuchwały szturm do domu Tołstoja. Czy były to naprawdę zanadto śmiałe odwiedziny? Nie, wybierałem się właśnie zagranicę, gdyż moje poezje wolnościowe nie zezwalały mi na pobyt w Petersburgu i w Moskwie, nie wiedziałem też, czy znajdę jeszcze kiedy okazję, aby zbliżyć się do Mistrza. Nie było to więc zuchwalstwo, tylko nieprzeparta potrzeba zobaczenia prawdziwego oblicza kochanego Mistrza.

Jeden ze znajomych Tatarów odwiózł mnie szybko swojemi końmi aż do świętego progu. Służący grzecznie, ale jakby z zamiarem prędkiego pozbycia się mnie, oznajmił, że Leon Tołstoj wyszedł na spacer. Bez naimniejszej logiki, ale zato z wielkiem przekonaniem, oświadczyłem pewnym głosem, że przychodzę w sprawie ważnej i dlatego pragnę zaczekać na powrót Tołstoja. Służący, zbity z tropu, zaprosił mnie do salonu. Dręczony wyrzutami sumienia za to, co uczyniłem przed chwila z tak niezwykłą i niespodziewaną energją, czułem się jak skazaniec, któremu wymierzono wyjątkowo dotkliwą karę. Wtem usłyszałem kogoś, wchodzącego z zewnątrz do przedpokoju, i cichą rozmowę. Zjawił się Tołstoj, a ja zerwałem się, jak uczeń, przyłapany na czytaniu zabronionej lektury i wykrzyknąłem:

— Leonie Mikołajowiczu, pragnę rozmawiać z panem! Proszę mi wybaczyć, chcę koniecznie to uczynić!

— Bardzo chętnie, — odpowiedział łagodnie, — lecz nie zaraz, gdyż muszę trochę odpocząć.

Odrzekłem głosem błagalnym:

— Pójdę teraz na spacer. Czy pozwoli mi pan, gdy już odpocznie, wrócić?

— Bardzo proszę,—odpowiedział Tołstoj uprzejmym tonem, — niech pan przyjdzie z przechadzki za godzinę.

Wyszedłem, rzucając nań wdzięczne spojrzenie.

Tylko spotkanie miłosne oczekiwane są z taką niecierpliwością, z jaką wyglądałem końca tych sześćdziesięciu minut. Podczas tej godziny pozostawałem nieczuły na urok przyrody krymskiej, nie znajdowałem tam miejsca dla siebie.

Jestem znowu sam jeden w tym samym pokoju. Tołstoj jeszcze odpoczywa. Pochyliwszy głowę, zaczynam marzyć i myśleć o tem, że najbardziej upragnione rzeczy nie są dostępne całkowicie, a tylko pozornie. Rozmyślałem o dziwnej przyciągającej sile tego wielkiego człowieka, sile, która nadaje wszystkiemu, co go otacza, swoje własne i osobliwe znamię. Podczas tej zadumy nie usłyszałem nawet, jak zbliżył się do mnie pocichu i rzekł serdecznie:

— A teraz chodźmy do innego pokoju.

W jaki sposób wyrazić wszystkie te tak drogie w mojem życiu zdarzenia człowiekowi, który nie był w Egipcie, który nie widział koloru Oceanu Spokojnego koło wysp koralowych, który nie śledził dniami i nocami lotu białego albatrosa, jak wytłumaczyć mu, chociażby nawet w obszernym tomie doskonale udokumentowanym i wspaniale ilustrowanym? Wielki umysł nie jest do opisania, kiedy pozwala przejrzeć swoje osobliwe oblicze. Jeżeli chociaż chwilę było się w jego obecności, nigdy nie przestanie się go kochać.

Przepędziłem tylko godzinę sam z Mistrzem, a potem jeszcze jedną niezapomnianą minutę w chwili pożegnania, ale wartości duchowe tej godziny i tej minuty rozpostarły promienie słoneczne na całe dalsze moje życie.

Dlaczego Tołstoj przyjął mnie tak życzliwie, jak jednego ze swoich, zamiast pozbyć się czem prędzej? Dlaczego poprosił mnie na obiad i rozmawiał ze mną cały wieczór w towarzystwie swej rodziny? Dlaczego najpierw zaczął delikatnie śmiać się ze mnie, podniecając moją odwagę, ażeby potem, nagle zmieniony, zapytać się poważniejszym już głosem:

— Kto pan jest? Proszę mi powiedzieć chociaż kilka słów o sobie...

W tym momencie uczułem w sercu jakąś podnietę, która jakby na zaklęcie tego czarodziejskiego słowa udzieliła mi zdolności plastycznej odpowiedzi. W ciągu pół godziny opowiedziałem Tołstojowi ważniejsze zdarzenia swego życia z takiem przejęciem i w takich barwach, że owego daru w tym stopniu nie zaznałem już nigdy, ani przed, ani po tym dniu. Dlaczego moja dusza była wówczas tak radośnie swobodna i szczera przed tym spowiednikiem, pełnym mądrości, która nie przygnębiała mnie, tylko ośmielała? Nie umiem tego wytłumaczyć.

Podczas ostatniej minuty, w ciągu kt:rej zbieg okoliczności pozwolił, że znajdowałem się znowu sam z Mistrzem, Tołstoj, widząc szczerość mego dlań uwielbienia i odczuwając prawdziwą przykrość, jaką mi sprawiała ta ostatnia chwila pożegnania, podniósł rękę i powiedział:

— Pan zmieni się wkrótce, wszystko to zniknie w panu.

Wszystko to pozostało we mnie dotychczas. Natomiast w ciągu sześciu miesięcy po tem spotkaniu przekształciłem się i zmieniłem... Oto podniósł się w mojej duszy głos, który dotąd nie odzywał się jeszcze we mnie. I ten głos nowy jest najsilniejszy ze wszystkich, nie opuści on mnie nigdy.

Kiedy wspomnę ów podobny do błogosławieństwa ruch tej ręki nieśmiertelnej, najszlachetniejszej ze wszystkich, ręki, która napisała tak niepożycie piękne karty, wydaje mi się, że widzę Wielkiego Kapłana. I gdybym kiedy znalazł się na rozdrożu lub w dzikim szale niesprzyjających, wrogich wiatrów, wówczas nie potrzeba mi innej ręki, wskazującej drogę, prócz tej.

Przełożył *Stanisław Pazurkiewicz.*

*) Przemówienie, wygłoszone dn. 10 stycznia 1926 r. w Sorbonie na uroczystości ku czci Tołstoja. Imię Tołstoja, Leon, brzmi w języku rosyjskim Lew (przyp. tłumacza).

LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW

Konstantemu Balmontowi

„I mnie w Paryżu nic już nie zajmuje,
Jednego słowa — Moskwa! — wciąż mi brak"

(Konstanty Balmont)

Kiedy Cię do naszego grodu,
Który, być może, znasz z przed wojny,
Zdyszany express wprost z Zachodu
Przywiezie, Gościu nasz dostojny,
Kiedy już będziesz między nami,
Miedzianowłosy, czerstwolicy,
— Nie bankietami, toastami
Uczcimy pobyt Twój w stolicy.

Nie! Lecz gdy skończą się bankiety,
I zamkną pamiątkowe księgi,
I w dal Cię zwabi duch poety,
Duch marzyciela i włóczęgi,
Za Tobą pójdziem wraz z innymi
Daleko poza bruki miasta
Patrzeć, jak ziemia w słońcu dymi
I w zieleń świeżych traw porasta.

I gdzieś, wśród pól grodzonych drutem,
Kędyś nad Wisłą czy na Woli,
Naraz pod czarnym Twym surdutem
Serce zabije i zaboli...
Wpatrzysz się w siną dal za Pragą,
W zamglonych borów półkolisko,
I aż się cofniesz przed powagą
Straszliwie prostych słów: „Tak blisko!"

I skroś źrenice załzawione
Het, za borami błękitnemi
Zobaczysz lica zasmucone
Najukochańszej swojej Ziemi;
Zobaczysz mury Moskwy miłej,
Kopuły Kremla kolorowe,
I na strwożoną pierś, bez siły
Miedzianowłosą zwiesisz głowę.

A wtedy my, jak przed żałobą,
Uchylim zwolna kapeluszy,
I milcząc, rozdzielimy z Tobą
Cierpienie Twej skrzywdzonej duszy.
I będzie: cisza, ból piekący
Niezagojonej nigdy rany,
I wiatr, od wschodnich pól wiejący
Nad zwisłej głowy włos miedziany.

Z poezyj Balmonta

MAGJA MALAJSKA

Spuszczam strzałę uroczną, oślepł księżyc u góry!
Spuszczam strzałę uroczną, zgasło słońce z purpury!
Spuszczam strzałę uroczną, gwiazdy tulą się drżące,
Z lękiem patrzą do dołu, kogo jeszcze utrącę?...

Nie ku gwiazdom napinam czarnoksięską cięciwę!...
I nie słońce z księżycem ściągam nadół, nieżywe!
W kwiatek wpijam je wszystkie, w kwiatku krwawią się żarem
— Serce, kwiatek czerwony, ustrzeliłem swym czarem!

Wydłużajcie się strzały, niewidzialne arkany!
Wychodź, duchu dziewczyny, niech cię mam, niekochany!
Wyjdź i zbliż się i legnij na gorące posłanie!...
Moją strzałą uroczną przyuroczam kochanie...

Przełożyła M. H. Szpyrkówna.

* * *

Marzeniami chwytałem w pierzchające zachody,
W pierzchające zachody cienie gaśnień i widm,
I na wieżę wchodziłem, i pod stopą mą schody,
I pod stopą mą schody wybijały mi rytm.

I im wyżej, tem ostrzej odróżniałem kontury,
Odróżniałem kontury tajnej dali i miast,
I przedziwnie mi brzmiały, niby pieśni i chóry,
Niby pieśni i chóry, głosy ziemi i gwiazd.

I im wyżej, tem góry lśniły czystszą pozłotą,
Lśniły czystszą pozłotą przez noc głuchą i mrok,
I swym blaskiem żegnania, niby tkliwą pieszczotą,
Niby tkliwą pieszczotą całowały mi wzrok.

A na dole pode mną czarna noc już nastała,
Czarna noc już nastała, ucichł hałas i gwar,
Ale dla mnie z oddali światłość słońca jaśniała,
Światłość słońca jaśniała i dopalał się żar.

Nauczyłem się chwytać w pierzchające zachody,
W pierzchające zachody cienie gaśnień i widm,
I wciąż wyżej wchodziłem, i pod stopą mą schody,
I pod stopą mą schody wybijały mi rytm.

Przekład z r. 1914. Przełożył Juljan Tuwim.

KROPLA

Do studni głuchej i zapomnianej, dawno już wyschłej i nieżyjącej,
Upadła kropla, lecz nie deszczowa, upadła kropla gwiazdy błyszczącej.

Spadała ona szlakiem w dół rwącym i niemal docna się dopaliła.
I tylko iskra, i tylko kropla jedyna jeszcze jasna świeciła.

Upadła ona nie w wód obfitość, nie do koryta rzeki wezbranej,
Nie na step wolny, nie w zieleń gaju, nie w gęstwę leśnej sosnowej ściany.

Spadając z nieba, upadła ona nie w głębię morza lub wodospadu,
I nie na pole, i nie na łąkę, i nie do białokwietnego sadu.

Do studni głuchej i zapomnianej, gdzie dno tęskniło za wodą żywą,
Upadła ona jak płatek śniegu, łączące ziemię z niebem ogniwo.

I gdy zmęczony nad ową studnię zabłądzisz nieraz w północnej chwili,
Tam pełno wody, jest napój w studni, jest pieśń co w sercu i w duszy kwili.

Lecz skoro tylko na horyzoncie świt zamajaczy zielono-blady,
Ciemnieje studnia, i tylko z brzegu—wilgotnej rosy bieleją ślady.

Przełożył Leonard Podhorski — Okołów.

SIEDEM KONI

Mam ja konia bułanego,
Cisawego i karego,
Koń srokaty, niecierpliwy,
Wicher nocny wplótł do grzywy,
Koń mój siwy jeszcze prędszy,
Lecz ze wszystkich najgorętszy
Ten, co tańczy dziś pode mną,
Gniadej maści z grzywą ciemną,
W dni, jak groźna mknie godzina,
Bystry, piersią dal rozcina
I prześciga myśl wiosenną.

Tak przez własne państwo gonię,
Los mi dał tę ziemię całą,
Pędzę wcwał i zmieniam konie,
Każdy w bój poskoczy śmiało.
W życiu tem, tak często szarem,
Jeślim smutny, zatroskany,
Pędzę na mym koniu karym,
Albo niesie mnie bułany.
Jeśli oczy zaszły łzami,
Lub gdym myślą oślepiony,
Dzwoni w pędzie kopytami
Koń srokaty, koń szalony.
Jeśli w boju pragnę sławy,
Na wyprawę mknąc wojenną,
Wtedy albo koń cisawy,
Albo siwy rży pode mną.
Jeśli serce oszalałe
W miękkie pragnę skuć okowy,
Koń mój gniady, pędząc cwałem,
Ciska cztery swe podkowy.
Tak to trwam w pogoni wiecznej,
A gdy w ogniu spłonę w końcu,
Wzleci ze mną koń słoneczny
Do królestwa dymów, w słońce.

Przełożył Władysław Broniewski.

Balmont jako tłumacz

Wielką rolę w twórczości Balmonta odegrały podróże, któremi objął niemal cały świat. Po zwiedzeniu krajów europejskich poznał poeta Meksyk, później Egipt, a w r. 1911 i 1912 objechał ziemię dookoła, zatrzymując się na dłuższy pobyt w Indjach, Japonji, Jawie, Australji i wszystkich prawie wyspach Oceanu Wielkiego. Te podróże nie były tylko zaspokojeniem ciekawości, skoro Balmont podczas pobytu w Meksyku studjuje np. gorliwie zabytki cywilizacyjne Azteków i pisze o nich specjalne uwagi, to samo czyni również w Indjach, Japonji czy Oceanji. Chodziło mu bowiem zawsze o głębokie wniknięcie w duszę danego narodu. Widać to nietylko w jego utworach oryginalnych, ale w znaczniejszym jeszcze

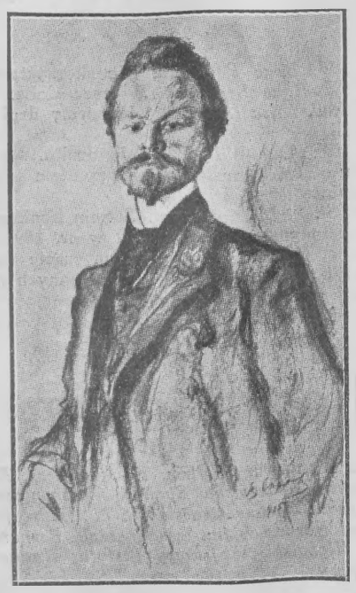

K. D. BALMONT
rysunek W. Sierowa

stopniu w przekładach, które dla literatury rosyjskiej posiadają niezmierne znaczenie. Podobnie jak poezje Balmonta wniosły niespodziewanie do piśmiennictwa rosyjskiego promienną ewangelję blasku słońca i radości, nakaz „bądźmy podobni do słońca!", bo życie jest piękne i jasne, — tak i jego tłumaczenia olśniły Rosjan, ukazując w całej pełni bogactwo i wartość literatur obcych oraz wzbogacając rodzimą twórczość nowemi natchnieniami i formami poetyckiemi.

Przekłady Balmonta obejmują bardzo liczny szereg utworów, należących do wielu literatur, — pod tym względem wszechstronność jego jest wprost zadziwiająca i wyklucza wszelkie współzawodnictwo. Książka „Echa starożytności" zawiera tłumaczenia wielu świętych poematów ludów starożytnego oraz Dalekiego Wschodu (Egipt, Babilonja, Asyrja, Indje, Japonja). Głośny poeta hinduski z II w. po Chrystusie Aświaghosza (znany u nas z ogłoszonego przed rokiem przekładu Gawrońskiego) doczekał się też uwzględnienia. Ogłoszona w r. 1921 obszerna antologja „Z poezji świata" zawiera przekłady licznych poetów angielskich, jak Coleridge, Wordsworth, Byron (wyjątek z „Prometeusza"), Shelley, Dante Rossetti, Tennyson, Blake, amerykańskich: Poe, Whitman, niemieckich: Goethe (urywek z Prometeusza"), Heine, Lenau, francuskich: Baudelaire, Paul Fort, Charles van Lerberghe, włoskich: Leopardi, hiszpańskich: José de Espronceda — ponadto są dwa wiersze gruzińskiego poety Rustaweliego i wyjątek z „Eddy" („Pieśń o Sigurdzie"). W poprzednich latach przełożył jeszcze Balmont niektóre utwory takich autorów, jak Marlowe, Shakespeare, Wilde, Lope de Vega, Maeterlinck, Hérédia, Hauptmann, Hamsun, Ibsen, Vrchlicky i t. p., prócz tego przetłumaczył wiele dzieł Calderona i Shelleya.

Na specjalną naszą uwagę zasługują oczywiście tłumaczenia Balmonta z literatury polskiej. W r. 1894 przeczytał „Nieboską komedję" Krasińskiego w przekładzie Lebiediewa. Dramat ten wywarł na nim tak silne wrażenie, że postanowił nauczyć się gruntownie języka polskiego, ażeby poznać arcydzieła naszej literatury w oryginale. W tym samym jeszcze roku przetłumaczył sonet Mickiewicza „Rezygnacja", w następnym zaś zachwyca się już pięknem „Anhellego" i „W Szwajcarji", a Słowackiego uważa za swego ukochanego autora. W r. 1910 Balmont ogłosił książkę „Trzy dramaty Słowackiego", zawierającą przekłady „Balladyny", „Lilli Wenedy" i „Heljona-Eoljona" (fragmenty „Samuela Zborowskiego"), niebawem zaś przetłumaczył „Genezis z Ducha" (w wyborze) i szereg poezyj lirycznych Słowackiego. W książce „Gdzie mój dom" (1924) umieścił poeta artykuł „Myśli Słowackiego"; znajdują się tu w przekładzie niektóre myśli z „Notatek w raptularzu", poprzedzone cennemi uwagami o autorze „Kordjana" jako poecie i myślicielu. W „Jasnych błyskawicach" (1908) przytoczył w tłumaczeniu wyjątki z Krasińskiego i Mickiewicza, np. z III części „Dziadów" pieśń Feliksa „Nie dbam, jaka spadnie kara", nie pomijając słów „że będzie szarfą dla cara", i Konrada „Pieśń ma była już w grobie, już chłodna... Z Bogiem — i choćby mimo Boga". Z naszej najnowszej literatury zainteresował się Balmont przedewszystkiem twórczością Kasprowicza i Wyspiańskiego. Z Kasprowicza przełożył doskonale wyjątki z „Uczty Herodjady", „Moją pieśń wieczorną" (w całości) oraz szereg wierszy z „Księgi ubogich". Obecnie zaś tłumaczy „Wesele" i „Warszawiankę" Wyspiańskiego.

Stanisław Pazurkiewicz.

Gdzie powinny spocząć szczątki Słowackiego?

Ankieta „Wiadomości Literackich"

EMIL BREITER

Zwłoki Juljusza Słowackiego powinny być złożone w katedrze na Wawelu. Uważam, że każde inne stanowisko jest wynikiem albo źle maskowanej małoduszności, albo wypływa z niezrozumienia zbiorowej woli narodu. Pochowanie Słowackiego w Warszawie lub w Krzemieńcu byłoby nieuzasadnioną degradacją mitu społecznego, dla którego Słowacki jest, był i będzie Królem - Duchem narodu.

TADEUSZ GRABOWSKI

Zdaniem mojem zwłoki największego romantyka europejskiego i polskiego winny spocząć tam, gdzie naród chowa swych największych. Otworzył im drogę w r. 1890 Mickiewicz. Za nim powinni tam pójść Słowacki i Chopin. Obok krypt królewskich są w katedrze wawelskiej inne krypty. Jeżeli znalazła się niegdyś krypta dla Mickiewicza, może znajdzie się inna dla Słowackiego.

Wiem, że znajdę się tu w opozycji z poglądami nawet wielu moich najbliższych kolegów historyków literatury polskiej. Był czas jednak, gdy Małecki przezwyciężył wiele uprzedzeń i rozproszył całą chmurę ignorancji. Tretiak poszedł w poglądach za Tarnowskim i pragnąc zwalczać rosnący w epoce Młodej Polski kult Słowackiego, pogłębił tylko wiedzę o nim i sam ukorzył się przed jego wielkością. Ja toczyłem ćwierć wieku walkę o Słowackiego w Krakowie i doczekałem się dziś tej miłej chwili, że na czele komitetu krakowskiego widzę najczcigodniejszego kolegę prof. Kallenbacha.

Sądzę, że stanie się tedy sprawiedliwość wielkiemu antagoniście Mickiewicza, i że cały zespół badaczy poety, jak Pawlikowski, Kleiner i inni, oświadczy się, na posiedzeniach krakowskiego komitetu, ze zgodą na mój wniosek. Czy potrzebuję go jeszcze usprawiedliwiać? Wszakże nie przemawiam do literackich analfabetów. Wszakże nie sądzę, by miał jaką wagę sąd przeciwników mego poglądu, którzy głoszą, że Słowacki nie był nigdy wodzem narodu. Dajmy spokój tym sofizmatom. Nie był wodzem ani Ajschylos, ani Wergiljusz, ani Dante, ani Goethe. Byli tylko genjalnymi twórcabi, za którymi ciągnął cały korowód naśladowców. Więc jedynie literackie kryterjum może tu rozstrzygać.

Historja kultu Słowackiego, któremu dzielnie dopomagała nauka, dowodzi zaś, że ten kult wzmaga się stale i osiąga swój szczyt w czasach Młodej Polski, która uznała w poecie swego patrona. W ten sposób spełniło się to, co głosił Krasiński w słynnym artykule z r. 1839, kiedy, atakując t. zw. krytykę ujemną, orzekł, że najwyższą ducha rozkoszą jest coś pięknego ujrzeć, ocenić, doznać. I spełniając postulat takiej krytyki, zaznaczył, że Słowackiego można rozumieć tylko w logicznem następstwie po Mickiewiczu, że świat nie na jednej tylko sile stoi, że w każdej całości są dwa kierunki.

A potem określił treść poezji Słowackiego w sposób taki, że świetniejszego nie da chyba nikt. Krytyka romantyczna osiągnęła w tym artykule szczyt nieznany Mochnackiemu, Mickiewiczowi, Klaczce. Uznał w niej, że jest Słowacki muzykiem, a w tej jego muzyce niesione nutami Beethovena płyną farby Correggia, farby Rafaela. Nazwał Słowackiego drugim momentem sztuki polskiej i siłą odśrodkową w przeciwstawieniu do dośrodkowej. A sąd ten potwierdzili ci, co ukochali poetę naprawdę: Matuszewski, Kleiner, Pawlikowski. Są dwa typy w Polsce ludzi, którzy się nigdy nie zrozumieją i nie zgodzą na to, że kult Mickiewicza nie może i nie powinien wykluczać kultu Słowackiego.

Jeżeli ktoś powiedział, że w równej mierze należałoby dziś pamiętać o Niemcewiczu, to zdradził tylko tem swój brak poczucia piękna i to jeszcze piękna najwyższego. Niemcewicz był znakomitym Polakiem, ale miernym artystą. A piękno trwa wiecznie, i przyszłe wieki potwierdzą zdanie poety, że Mickiewicz i Słowacki — to nie wrogi, to nie teza i antyteza, ale „dwa na słońcach dwóch przeciwnych bogi".

STEFAN KOŁACZKOWSKI

Sprawa sprowadzenia zwłok jest kwestją kultu. Gdybyśmy tylko hierarchję ducha Słowackiego mieli na względzie, a pozatem potraktowali sprawę tylko formalistycznie, — odpowiedź byłaby prosta: miejscem spoczynku jego prochów winien być Panteon polski — Wawel.

Cóż to za kult jednak bez uwzględnienia indywidualności tego, który jest przedmiotem czci, gdy chodzi o indywidualność tej miary, co Słowacki!

Przeciw katakumbowym mrokom i ograniczeniom sklepień cała poezja jego i cała filozofja, wpatrzona w ogrom kosmosu, stawia głośne veto! Ducha jego przepaja taka potężna panteistyczna tęsknota przestworu, takiem tchnie on romantycznem umiłowaniem przyrody, taka w nim miłość kresowych kurhanów, że jedną tylko znajduję odpowiedź — Krzemieniec.

Sprawy tej „drogą administracyjną" załatwiać nie można. Ankiety nie są też środkiem do jednomyślnej uchwały. Przesądny, ciasny pseudo-demokratyzm widzi ideał w jakiemś bezosobowem załatwianiu spraw. Ducha narodu wyrażają osobowości. Tam, gdzie ma być pomysł, inicjatywa, wyczucie indywidualności, odpowiedzialność i sprawność, tam wielogłosowe zrzeszenia tylko gmatwają sprawę. Rząd i zrzeszenia pisarzy i artystów, porozumiawszy się, winny powołać komitet złożony z paru najwybitniejszych pisarzy, najlepszych znawców poety z pośród historyków literatury, wybitnych znawców historji sztuki i kultury naszej, paru pisarzy, którzy pochodząc ze stron rodzinnych Słowackiego, ducha jego najlepiej intuicyjnie wyczuć mogą, — „tu Malczewskiego trzeba mieć tęsknotę" — i temu komitetowi powierzyć decyzję i egzekutywę. „Bezosobowo" — w gruncie gromadnem polskiem gadaniem, do niczego nie dojdziemy. Dla przykładu powiem, jak sobie skład tego komitetu, w myśl wyżej wykonanego planu, wyobrażam: Berent, Sieroszewski, Staff, J. Gw. Pawlikowski, Kleiner, Noakowski, Jan Kowalski (p. Nitschowa), Szczucka, Iwaszkiewicz.

Wznosząc pomnikowy grobowiec poecie, nie nasz styl, lecz przedewszystkiem styl jego epoki i charakter otoczenia, z którem ma harmonizować, trzeba mieć na względzie. Jestem najgłębiej przekonany, iż w tej jednej sprawie sporów nie będzie: mianowicie wszyscy zgodzą się na to, iż wielki wyczuwacz stylów i wielki artysta w jednej osobie, prof. Stanisław Noakowski, jest najbardziej powołany na inicjatora i projektodawcę. Za tem rozwiązaniem kwestji w duchu regjonolistycznym przemawia i sama potrzeba unikania muzealnego natłoku i muzealnej martwoty w jednem jakiemś mieście, czy miejscu. Niechaj grobowiec-pomnik przypomina o związku życia ze sztuką tym, którzy zdala od centrów kultury, przywykli ją sobie wyobrażać jako coś od ich życia dalekiego i oderwanego. Niechaj uczy poczucia godności własnego zakątka, aby budząc szlachetne ambicje, przestał być „zakątkiem", a stał się równowartościową, integralną cząstką całości. Niechaj zwłoki Słowackiego pomnożą „rodzajne popioły" tej, płodnej w wielkie duchy, ziemi. Niechaj pomnikowy grobowiec świadczy o źródłach i ujściach naszej kultury i będzie trwałem przypomnieniem jej granic.

Słowacki ma X tytułów do tego, by spoczywać w Warszawie, lecz czy ma ich także wiele Warszawa? Czy może „pięknem" ośmieszających nas pomników warszawskich Mickiewicza i Chopina gwarantuje równie „estetyczne" rozwiązanie sprawy grobowca Słowackiego?! legitymuje się tem, że dotąd nie potrafiła ani wziąć w siebie wpływów, ani uczcić godnie jednego z najbardziej zrośniętych z jej życiem twórców, jednego z najgłębszych i najświętszych Polaków, że nawet niema w niej ulicy imienia Bolesława Prusa?! Czy tem, że wszystkie świadectwa nie zdołały przemóc w niej małomieszczańskiej, dufnej w siebie zarozumiałości, iż w granicach jej rogatek kończy się kulturalne życie Polski? Czy może tem, że nie umiejąc uczcić wielu z życiem jej najściślej związanych duchów, sięga po prochy Słowackiego, dając jeszcze jedno świadectwo więcej swej, tak głęboko w nią wrośniętej, lekkomyślnej pretensjonalności?

Warszawa wtedy stanie się prawdziwą i duchową stolicą Polski, gdy wyzbędzie się małomieszczańskiej pewności, iż cała Polska na niej się kończy. Gdy nauczy się marzyć o podniesieniu dzielnic — w perspektywie wieków. Zachłanność nie jest drogą do wewnętrznego podniesienia! Nie takie lub owe pretensje i ambicje, lecz głos poety niech zakończy, oby jak najszybciej, nasze spory:

Już przypomniawszy gniazdo me na wschodzie,
Wołałem ręką Krzemienieckiej góry,
Ażeby weszła rozpędzić tę ciemną
Zgraję — i stanąć za mną — lub pode mną.
. . . . . .
Ja, co mam także kraj, łąk pełen kwietnych,
Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
A która także mnie kochać powinna.

MANFRED KRIDL

Według mego najgłębszego przekonania nie może być absolutnie dwóch zdań co do miejsca, gdzie powinny spocząć zwłoki Słowackiego. Jedynym godnym dla nich przybytkiem są *groby królewskie na Wawelu*. Twórca „Króla Ducha" musi spocząć obok Mickiewicza, jako drugi wielki władca w państwie ducha polskiego. Wszelkie inne projekty (Warszawa, Krzemieniec, osobna kaplica na wzgórzu wawelskiem) nie liczą się z tem, czem Słowacki był, jest i będzie. Nie można absolutnie dopuszczać myśli, aby *jakiekolwiek* względy stanęły na zawadzie takiemu uczczeniu poety, jakie jedynie godne jest jego wielkości i godne narodu, który go wydał. Raczej odłożyć całą uroczystość, niż narażać ducha poety na nowe upokorzenia, których już dość doświadczył za życia i po śmierci.

JAN LECHOŃ

Krakowski komitet sprowadzenia zwłok Słowackiego, złożony z municypalnych wielkości, wprawnych chirurgów, zapalnej młodzieży i t. d., ogłosił oświadczenie, wzywające literatów polskich do zaprzestania warcholskich dyskusyj na temat zamierzonej uroczystości i do poddania się komitetowi.

Jak na ludzi, którzy niebardzo nawet uprzednio nalegając na arcybiskupa Sepiehę, aby wpuścił prochy do katedry wawelskiej, byli na najlepszej drodze do pochowania Słowackiego pod drzewem za kościołem, byle tylko nie drażnić wielebnych księży, jak na grono, w którem świat piękna reprezentowany jest przez prof. Kallenbacha, — ten apel do jedynie prawowitych dziedziców, najbliższych duchowi Słowackiego, — uprzytomnijmy sobie tylko! — do Berenta, Sieroszewskiego, Przybyszewskiego, Miriama, Świętochowskiego, Or-Ota, Kadena, jest to gruba ordynarność, koronująca te wszystkie bezceremonjalne rozpychania się ludzi „z miasta", z rozmaitych cechów i spółek zarobkowych, naokoło pomników naszej wzniosłości, że wspomnimy tylko posadzenie literatów w czasie otwarcia Teatru Narodowego na galerji i pogrzeb Sienkiewicza.

Jeżeli głos Straży Piśmiennictwa Polskiego, z której grona właśnie powołać ma rząd przyszłą akademję literatury, tyle ma mieć w rzeczach literackich znaczenia, że studenci i lekarze będą ją wzywali do siedzenia cicho, a dyrektor departamentu sztuki nie pofatyguje się nawet przedstawić jej dezyderatów rządowi, — to lepiej odrazu do p. Kraushara dokooptować prof. Kallenbacha i prezydenta miasta Krakowa — i z nich zrobić akademję, aniżeli aranżować komedję jakiegoś samorządu literatury i poszanowania zasłużonych pisarzy.

Sprawa przeniesienia zwłok Słowackiego, to nie jest heca dla „czerepów rubasznych", to jest święto wyniesienia „duszy anielskiej" nad pospolitość i opychanie się codziennym chlebem, przy tej sprawie powinien mieć głos albo jakiś plebiscyt literatów, albo ich umocowane przedstawicielstwo, i gdyby nawet decyzje komitetu krakowskiego tak szły po myśli wszystkich jak budzą sprzeciwy, z głębi odczucia poezji Słowackiego i naszych dziejów płynące, — nie zmieniłyby faktu, że nie oddaje się hołdu Słowackiemu, nie schylając głów przed literaturą polską, — tymi, którzy są jej dzisiejszą świetnością.

Zamykanie oczu i ust na to wszystko z powodu, że złożenie Słowackiego na Wawelu — oznacza jakoby zwycięstwo „demokracji polskiej", — jest demagogją niegodną sprawy. Od czasu słynnego zakazu kardynała Puzyny trwa ta awantura pomiędzy ciemnym klerem a zacietrzewionymi radykałami, ale, trzeba przyznać, że demokracja polska okazała w tym sporze tyleż zapału, co bezwładu myślowego, bo przecież na Wawelu leżą nietylko Mickiewicz i Kościuszko, ale i Zygmunt Waza i August Mocny; co oni mają wspólnego z demokracją polską.

Za niewoli miało to ten przynajmniej sens, że o pogrzebie w Warszawie nie mogło być mowy, więc Wawel był jedynym Panteonem, i jak Mickiewicza, który nigdy w Krakowie nie był, jak księcia Józefa, legendowego bohatera Warszawy, także i Słowackiego tam jedynie można było złożyć; ale już wtenczas czeluść wawelska straszyła tchem grobowym nowe polskie życie, i właśnie genjusz Krakowa — Wyspiański ukazał jej trupie otchłanie.

Kraków jest miastem Piastów i Jagiellonów, jest stolicą Racławic — słusznie więc tam leży Kościuszko, choć jego pomnikiem nie jest krypta w katedrze, ale kopiec czarnej ziemi nasypany pod otwarte niebo drżącemi i spracowanemi rękami. Ale Warszawa przelewała drogą krew swoich żołnierzy i mieszczan w noc listopadową i sześćdziesiątego trzeciego roku, z niej, okuci w kajdany, wyszli nasi dziadowie i ojcowie na Sybir— my powinniśmy być pierwsi przy trumnie Słowackiego, który napisał „Kordjana" i „Anhellego", — jego grób musi być w Warszawie!!!

Powinna za tem nieugięcie stanąć cała stolica, jeśli Warszawa nie jest dla nas kupą kamieni, tylko ciągłem życiem i walką tu osiadłych pokoleń, muszą się za tem opowiedzieć jak się w większości swej opowiedzieli pisarze polscy, bo tak jest sprawiedliwie, bo Słowacki i Żeromski należą do Warszawy.

Jeśli chodzi o to, czy grób ma być u św. Jana — to może byłoby to najprostsze, ale trzeba raczej, nie zrażając się dowcipami pani Wielopolskiej, pomyśleć o czemś tak właśnie niedorzecznem, jak był szaleństwem kopiec Kościuszki, o którymś z tych projektów, których pełna była zawsze twórcza i wszystko twórczym duchem przenikająca myśl Żeromskiego. Chciał on zawsze karmić naród porówno chlebem i pięknością: uczynków, słów i rzeczy. Pomyślmy: czy oddałby trumnę Żeromskiego rękom oficjalnych grabarzy? Zbudujemy w Warszawie grób Słowackiego, któryby zamknął jego popioły, ale zarazem wysławił nieśmiertelność poezji.

BOLESŁAW LIMANOWSKI

Złożenie zwłok Kościuszki i Mickiewicza, największych duchów naszego narodu, na Wawelu wskazuje jego przeznaczenie na Panteon naszego narodu, w którym ma on gromadzić zwłoki, prochy i posągi swych wybrańców bez różnicy wyznania ich religijnego, jak się to dzieje zwłaszcza w Westminster. A niezaprzeczenie Juljusz Słowacki należy do wybrańców narodu.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI

Podzielając argumenty Straży Pismiennictwa Polskiego, oświadczam, iż zwłoki Juljusza Słowackiego powinny spocząć w Warszawie.

L. H. MORSTIN

Prochy Juljusza Słowackiego winny być sprowadzone do kraju i pochowane w grobach królewskich na Wawelu. To jest mogiła godna tych popiołów! W dzisiejszej chwili, gdy społeczeństwu powojennemu, zmaterjalizowanemu do szpiku kości, poezja staje się coraz bardziej niepotrzebna, wprowadzenie trumny poety między sarkofagi królów i wodzów — herosów narodu będzie miało głębsze symboliczne znaczenie. Może niejeden, patrząc na orszak żałobny idący na Akropolis do królów wiecznego spoczynku za zwłokami człowieka, który mieczem nie rąbał i krwi nie rozlewał, tylko pieśnią i miłością serca zdobywał, zrozumie, że poza triumfem brutalnej przemocy są inne wartości, którym także nieśmiertelność na imię. Może to będzie pogrzeb poety, a zmartwychwstanie poezji w narodzie! Jeżeli zaś nie wawelskie podziemia — to cicha mogiła na cmentarzu Montmartre, uświęcona łzami tułaczów w niewoli. — Według mnie każde inne załatwienie tej sprawy jest nikomu niepotrzebne, a szukanie kompromisu poczuwającego się do wdzięczności sumienia narodowego ze względami oportunizmu partyjnego jest śmieszne i bolesne.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

Koncepcja pomieszczenia popiołów Słowackiego w jakimś tam sarkofagu naprzeciw trumny Mickiewicza wydaje mi się wprost dziecinną — geometryczną koncepcją dwóch na przeciwległych biegunach spoczywających bogów.

Garść literatów i artystów polskich — do komitetu tego należałem przed trzydziestu laty — *wyżebrywała* grób dla Słowackiego na Wawelu. Książę Puzyna powiedział, że prędzej mu włosy na dłoni wyrosną, zaczem się na to zgodzi, — a całe społeczeństwo zamilkło.

Dziś ten *wyżebrywany* przez trzydzieści lat, a autorytetem państwa *nakazany* grób jest niegodny tak wielkiego potentata, jakim był *Juljusz Słowacki*,—a mało było tych króli, którzy byliby godni *obok niego* spocząć.

Z największą czcią i wdzięcznością zwracam się do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, z najwyższem uwielbieniem dla Pierwszego Marszałka Polski Piłsudskiego, i do nich zanoszę prośbę, by ich autorytet zaważył na szali tego dla całego narodu tak doniosłej sprawy.

Ten wielki, święty samotnik zasłużył za całe swoje męczeńskie życie na iście monarszy, *samotny* grób w Warszawie, w tem bądź co bądź: sercu Polski.

W przepięknem, dostojeństwa i przekonywającej powagi pełnem orędziu wskazał Miriam to miejsce, w którem popioły Juljusza spocząć mają: kryptę w katedrze św. Jana.

JULJAN TUWIM

Prochy Juljusza Słowackiego powinny spocząć w Warszawie, w stolicy niepodległego państwa.

Kraków był wyłącznem asylum dla manifestacyj narodowych tylko za czasów niewoli. W dziedzictwie po nim wszelkie obchody ku czci wielkich Polaków przejąć musi przedewszystkiem Warszawa. Nato jest stolicą. Pierwszy to i decydujący argument.

Wszelkie inne pomijam. Rozważania na temat, które z tych dwóch miast było Słowackiemu bliższe (a niewątpliwie Warszawa!), uważam za jałowe i niepotrzebne. Najlepiej tym prochom na paryskim cmentarzu. Trzebaby tedy, mówiąc słowami poety, „wziąć tę trochę zgnilizny i zapytać, czy chce do ojczyzny" („Na sprowadzenie zwłok Napoleona").

Nie bawmy się więc w fikcję. Traktujmy sprawę przewiezienia szczątków śmiertelnych Słowackiego do Polski jako wielką manifestację hołdu, składanego przez naród i państwo swemu poecie. A ten akt odbyć się musi w Warszawie.

JÓZEF WITTLIN

Sprawa wyboru poczekalni, z której kości Juljusza Słowackiego mają się udać w dniu trąby archanielskiej na sąd ostateczny, — jest mi obojętna. Ale skoro te biedne kości przedwcześnie zmarłego gruźlika ciągle jeszcze stoją kością w gardle ojczystej pychy, nie mogącej zapomnieć kilku zdań z „Kordjana", „Beniowskiego" i „Samuela Zborowskiego", lepiej będzie pochować fizyczne szczątki autora „Mazepy", jak zwłoki owego Wojewody — „od tych trupów daleko".

Daleko, jak najdalej od tych trupów, którym pycha zafundowała na Wawelu wspaniałe sarkofagi i włożyła koronę i berło. Jak najdalej od miejsca powszechnie czcigodnej glorji leżeć winny kości nieszczęśliwego poety polskiego Juljusza Słowackiego, iżby się nad niemi mogły użalić serca ludzi niekochanych za życia, jak on, nieszczęśliwych, jak on, i jak on — smutnych. Niechaj szczątki Słowackiego spoczną w myśl życzenia Stefana Żeromskiego w Warszawie. W tem mieście nowem, przeznaczonem dla ludzi przyszłych, powinien naród polski wybudować schronisko pośmiertne dla swoich wielkich rebeljantów ducha, dla wszystkich, którzy płynęli przeciw prądowi, a których na śmierć zaszczuła pycha rodaków. W takiem miejscu miło będzie szczątkom Słowackiego leżeć w najbliższem sąsiedztwie Stefana Żeromskiego. Może tutaj „białe jego kości, w straż nieoddane kolumnowym czołom" miłościwie zauważy On, z którym Słowacki, jak wszyscy poeci, był „na Ty".

W dniu ostatecznym za wielki będzie ścisk w krypcie wawelskiej, i wątły suchotnik nie zdoła się przepchać poprzez ciżbę purpurową i złotą. On nigdy nie miał mocnych łokci.

Premja dla abonentów „Wiadomości Literackich"

Losowanie Książek

Dn. 23 kwietnia b. r. o godz. 1 pp. odbędzie się w lokalu administracji „Wiadomości Literackich" przy ul. Boduena 1 trzecie i czwarte losowanie książek pomiędzy prenumeratorami „Wiadomości Literackich", którzy opłacą do dnia losowania pełną kwotę prenumeraty przynajmniej za jeden kwartał (zł. 9). Rozlosowanych zostanie 18 wydawnictw, łaskawie ofiarowanych z własnych nakładów przez Instytut „Renaissance", oraz 22 egzemplarze „Obłoku w spodniach" Majakowskiego, w przekładzie Tuwima.

Margueritte. La garçonne. Towarzysz. Młode pokolenie. 3 tomy	23.—
Annunzio. Triumf śmierci. Płomienie miłości. 2 tomy	13.50
Anet. Ariana	8.—
Hauptmann. Atlantis	7.—
Perutz. Markiz de Bolibar	7.—
Sheff. Lukrecja Borgia	7.—
Belmont. Markiza Pompadour	6.—
Hauptmann. Kacerz z Soany	6.—
Hirschfeld. Seksualizm a kryminalistyka	5.50
Annunzio. Notturno	5.—
Meyrink. Biały dominikanin	4.50
Barbusse. Szał miłości	4.—
Meyrink. U progów zaświata	4.—
Ewers. Zmora nocy	3.50
Tomasz Mann. Śmierć w Wenecji	3.50
Wassermann. Złote zwierciadło	3.50
Ewers. Dama tyfusowa	3.—
Schnitzler. Grecka tancerka	3.—
Majakowskij. Obłok w spodniach	66.—

Wartość nagród zł. 183.—

NOWOŚĆ!
ZDZISŁAW DĘBICKI
PORTRETY
CENA ZŁ. 7.—
GEBETHNER I WOLFF

NOWOŚĆ!
ZOFJA NAŁKOWSKA
i
MARJA JEHANNE WIELOPOLSKA
KSIĘGA O PRZYJACIOŁACH
CENA ZŁ. 4.50
GEBETHNER I WOLFF

NOWOŚĆ!
KORNEL MAKUSZYŃSKI
PONURE IGRASZKI
CENA ZŁ. 5.—
GEBETHNER I WOLFF

NOWOŚĆ!
FERDYNAND GOETEL
Z DNIA NA DZIEŃ
Wydanie 2
CENA ZŁ. 5.50
GEBETHNER I WOLFF

Kupon do udziału w plebiscycie „Wiadomości Literackich" „Dwanaście najwybitniejszych utworów polskich autorów żyjących"

Ruch teatralny

Teatr Narodowy: „Farys", komedja romantyczna w 7 obrazach *Stanisława Miłaszewskiego;* reżyserja *Józefa Węgrzyna,* dekoracje *Wincentego Drabika,* muzyka *Henryka Adamusa.*

Na tle jarmarcznej wrzawy różnych dostawców teatralnych, przekrzykiwania się, zachwalania swego towaru i skomlenia o względy publiczności, słucha się ze wzruszeniem słów poety, gdy czaruje głośniejszą od tej wrzawy magją swych słów i melodyj. Tak mało dzisiaj dzieje się w naszej literaturze, iż premjera nie fabrykanta sztuczek, ale premjera poety, musi wzbudzić najszersze zainteresowanie, i jest to bardzo pocieszające i bardzo znamienne, iż publiczność nasza głodna być musi poezji, jeżeli z takiem zajęciem i skwapliwością przyjmowała sztukę Miłaszewskiego.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI
portret Konrada Krzyżanowskiego

Autor „Farysa" nie dał nic nowego. W wielu momentach przypominał Słowackiego, w najlepszych wprost go naśladował. Podobieństwo Delfiny do Idalji z „Nowej Dejaniry" było zbyt wymowne.

Pierwsza część „Farysa" pokazuje nam Wschód, lecz jakże banalny: Miłaszewski nie odmalowuje konfliktu między psychiką Polaka Rzewuskiego a tłem ludzi wschodnich, nie pokazuje ani jednej nowej, żywej strony w swoim bohaterze. Farys postępuje jak bohatr średniego filmu. Jak w filmie potrzebne są zbliżenia — tu potrzebne są tyrady. Farys spełnia różne, na pamięć już znane, czyny z repertuaru romantycznego i mówi o tem szeroko i długo bardzo zgrabnym, nader kunsztownym, lecz nieco uprzykszonym wierszem. Intryga, w którą wplątał autor swego bohatera, przypomina nie bajki dla dzieci, lecz średnie książki dla młodzieży. Farys mógłby być — gdyby mu się odebrało rymy — bohaterem Karola Maya.

Kochanka Farysa jest w swem postępowaniu nieco zagadkowa. Wykrada się z haremu, narażając swoje i swej służebnicy życie, aby ujrzeć Farysa, — a gdy go widzi, robi przed jego namiotem wielką awanturę z powodu uwięzionego rozbójnika: broni uciemiężonych. Takie przeciwstawienie psychiki wschodniej i czynów Polaka jest dość mętne. Ta kobieta haremowa stanowi jedyną niebanalną postać, ale zato nieprawdopodobną, nie wytłumaczoną i nie zbudowaną przez autora.

Szlachetny książę, który się odwdzięcza za ocalone życie i wykupuje przyjaciela z niewoli, również nie zdołał nas zająć ani na chwilę. Jest papierowy, a raczej bibułkowy. O innych figurach części pierwszej wspominać nawet nie warto — są to powszednie znane typy kochliwych służebnic lub gadatliwych famulusów. Czarny charakter — ów rozbójnik uwolniony — postępuje również dość swobdnie i niebardzo liczy się z prawdopodobieństwem. Człowiek ocalony od śmierci czy niewoli — oddala się zwykle i gdzieś, jeśli już koniecznie dla akcji to potrzebne, w ustroniu knuje krwawą zemstę. Tu, przeciwnie, prowokuje on stale swego dobroczyńcę, ba — nawet wchodzi nocą do jego namiotu, aby mu przygadać.

Mogliśmy się spodziewać, znając piękny tom poezyj Miłaszewskiego i jego świetny przekład „Don Juana", czegoś więcej. Niema tu ani konfliktów rasy ani wiary, niema tu żywego człowieka ani obrazu miłości — jest tylko konwenans.

Część druga przynosi nowe rozczarowanie. Nie upieramy się przytem, aby utwór poetycki rozwiązywał jakieś zagadnienia społeczne i wnosił wojującą ideologję — ale chcemy widzieć twarz autora. Gdy zjawia się nowy poeta, pragniemy go odczuć. Sądząc po poezjach Miłaszewskiego, wydawaćby się mogło, że nie zawiedzie pod jednym względem — delikatności i wytworności. „Farys", niestety, poluje często na grube efekty widowiskowe. Sztuka kończy się nagromadzeniem takich efektów (patrjotyczno-religijnych) wkraczających w niesmaczność.

Cała część druga obrazuje Polskę, w przeciwieństwie do szlachetnego Wschodu, dość ironicznie. Widzimy egzaltowaną histeryczkę, śmiesznego pajaca, jej amanta, i parę postaci nic poprostu nie znaczących. Poco to wszystko? Czy to kronika historyczna? Czy to są wierne dzieje emira Rzewuskiego? Jeśli tak — temat nie był wart pióra.

W ogólnym bilansie zapisać możemy na dobro autora liczne ładne zwroty, wielką umiejętność wersyfikacyjną i jeden plus niezaprzeczony i godny podkreślenia — czysty i piękny język polski.

Wykonanie „Farysa" stało na poziomie operowym. Pompatycznie efekciarskie dekoracje części pierwszej prosiły się o jakiś balecik wschodni. Zdawało się chwlami, iż *Węgrzyn* podejdzie do rampy i zaśpiewa. *Broniszówna* dobrze mówiła wiersz. *Pichor-Śliwicka* z nienaganną dykcją i czystością wypowiadała rymowane zdania.

Teatr Polski. „Ardjanna Lecouvreur", sztuka w 5 aktach (6 odsłonach) *E. Scribe'a* i *E. Legouvé;* przekład *Tadeusza Boya-Żeleńskiego,* inscenizacja i reżyserja *Karola Borowskiego,* dekoracje *Karola Frycza.*

Dyrektorzy teatrów w poszukiwaniu sztuk, któreby mogły trafiać do serc dzisiejszej publiczności, coraz chętniej sięgają po melodramaty. „Adrjanna Lecouvreur" to konsekwencja powodzenia „Damy kameljowej". Ma mniej, być może efektów melodramatycznych, — trudniej trafia do przekonania szerszej publiczności, ale przewyższa ją w naszych oczach wdziękiem swoistym, urokiem epoki, charakterami ludzi tam występujących. Cała akcja odbywa się w atmosferze przesiąkniętej poezją. Bohaterowie mówią cytatami z klasyków francuskich, czuć za oknami mieszkanka Adrjanny Paryż twórczy, bogaty, różnorodny. To nie współczesna farsa francuska, odgrywająca się za kulisami kabaretu, błądząca między cynizmem użycia, pieniądzem i sceptycznym uśmiechem. W „Adrjannie" wszystko jest naiwne, ale wszystko — prawdziwe. Prawdziwa miłość, prawdziwa zazdrość i prawdziwe cierpienie. Spotkanie się dwóch rywalek w ciemnej sali, tyrada wygłoszona przez zaproszoną aktorkę w salonie księcia — to kapitalne sceny nietylko z punktu widzenia teatru.

Niestety, reżyser nie potrafił ukazać tych walorów w dostatecznej sile i świeżości. „Adrjannę" wystawiono banalnie, acz z przepychem i bogactwem. Wszystko poddano głównej wykonawczyni roli tytułowej, roli, która wymaga wprost genjuszu aktorskiego, roli, która była pono najlepszą kreacją Eleonory Duse. Marja *Przybyłko - Potocka* sięgała chwilami wyżyn maestrji, zwłaszcza w scenie przedostatniej.

Sztuka powinna liczyć na powodzenie. Kiedyś, w czasie jej pierwszych przedstawień, znaczyła może co innego — innemi przemawiała walorami. Dziś został z niej zapach starych wachlarzy, koronek, kwiatów rzucanych do ognia, wstążek i słów— drobnych księżyców odbijających słońce poezji.

Antoni Słonimski.

Następny numer „Wiadomości Literackich", poświęcony G. K. Chestertonowi, ukaże się w objętości 6 stron druku i zawierać będzie m. in. artykuły i przekłady **Romana Dyboskiego, Wilama Horzycy, Czesława Jastrzębiec-Kozłowskiego, Andrzeja Tretiaka, Józefa Wittlina, Romana Zrębowicza.**

Dn. 24 Kwietnia b. r. o g. 8.30 wiecz. odbędzie się w sali
Konserwatorjum Warszawskiego (Okólnik)
wieczór „Skamandra"
z łaskawym współudziałem:
Marji Morskiej, Marji Strońskiej i Marjusza Maszyńskiego (recytacja)
oraz poetów:
Stanisława Balińskiego, Władysława Broniewskiego, I. K. Iłłakowicz, Jarosława Iwaszkiewicza, Jana Lechonia, Jerzego Lieberta, Antoniego Słonimskiego, Juljana Tuwima, Kazimierza Wierzyńskiego.
Bilety (zł. 1. — 5) w kasie zamawiań u Chodowieckiego (Krakowskie-Przedmieście 9), a w dniu wieczoru w kasie Konserwatorjum.

Nagroda m. Warszawy

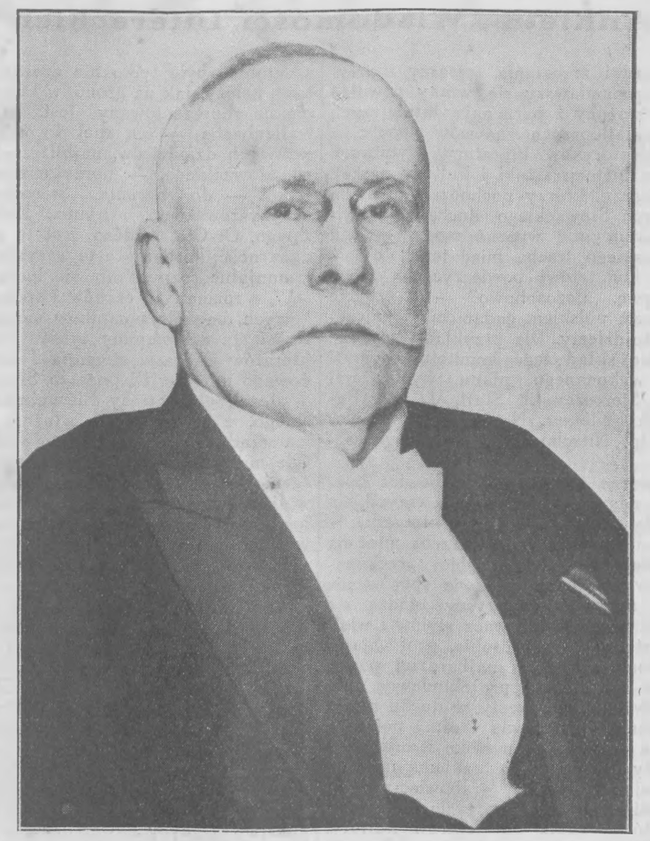

fot. Światowid

WACŁAW SIEROSZEWSKI
otrzymał pierwszą nagrodę m. Warszawy w sumie zł. 15.000

Sztuka węgierska w Zachęcie

Ma się wrażenie, jak gdyby tylko jedno jedyne założenie zostało konsekwentnie przeprowadzone przy urządzaniu tej wystawy. Założenie obniżenia wartości sztuki węgierskiej w oczach znawców, tem łatwiejsze do urzeczywistnienia, że mało kto w Polsce zna na tyle istotny poziom artystyczny na Węgrzech, by wyrobić sobie zdanie o „reprezentacyjności" reprezentacyjnej wystawy.

Jaki jest właściwy jej program? Czy miała być restrospektywna, czy też chciała dać przegląd współczesnych kierunków? Ani jedno ani drugie nie zostało w każdym razie dokonane. Część wystawy, mogąca rościć pretensje do reprezentacji retrospektywnej, potraktowana została z podziwienia godną lekkomyślnością i banalnością. Reprezentacja współczesności jest w wielkim procencie kolekcją miernoty i kiczu, nie stojącą w żadnym stosunku do tego, czem jest w istocie sztuka węgierska.

Filary węgierskiego malarstwa, jego niemal że twórcy, jak Munkácsy i Szinyci-Merte, następnie Páal i Benczur, reprezentowani są obrazami, po których trudno domyśleć się czegokolwiek o ich artystycznej indywidualności i o ich roli historycznej. Jeśli istniały trudności w pokazaniu ich właściwego oblicza, zdrowiej byłoby oczywiście nie pokazywać ich wcale, aniżeli wyrabiać w niezorjentowanym widzu fałszywe o nich wyobrażenie.

To samo dotyczy również przedstawicieli węgierskiego impresjonizmu i postimpresjonizmu.

Pomijam już fakt, że brak jest zupełnie na wystawie malarzy takich jak Ferenczy, Keenstock, Vaszary z pierwszego okresu — nie mówiąc o innych, — którzy stanowią najpoważniejsze i najoryginalniejsze pozycje w rozwoju malarstwa węgierskiego owej doby. Gorsze jest to, że i ci, których wystawiono, pokazani są od strony najmniej charakterystycznej i najmniej ciekawej.

Jeśli chodzi o malarstwo najnowsze, to byłoby rzeczą bardzo smutną, gdyby przedstawiało się ono istotnie tak, jak je reprezentuje wystawa. Trzy sale zapełnione są okazami beznadziejnego epigonizmu, bez żadnej myśli twórczej i żadnej inicjatywy. To już niemal że „Zachęta", tylko tyle, że w każdym razie większa jest przyzwoitość pod względem technicznym. W jednej tylko sali, gdzie wystawił związek artystyczny „Kut", jest atmosfera świeższa i europejska.

„Kut" na tle tej wystawy wydaje się niesłychanie lewicowy; trzeba przypomnieć, że jego pozycja artystyczna równa się mniej więcej naszemu „Rytmowi", któremu nikt w Polsce nie nadałby miana lewicowości. Właściwych lewicowców nie pokazano nam wcale, mimo że są wśród nich nazwiska znane w Europie, że wie o nich Paryż, Berlin, Londyn.

Autor przedmowy do katalogu twierdzi, że „wystawa daje wystarczający obraz wartości wysiłków twórczych współczesnego malarstwa węgierskiego". Nie sądzę. Cenię malarstwo węgierskie wyżej, aniżeli się to przeciętnie dzieje poza granicami Węgier. Cenię przedewszystkiem jego — niemal hiszpańską — ciężkość i soczystość kolorytu, cenię jego rozmach fakturowy, świadczący o rdzennym i przyrodzonym temperamencie malarskim, cenię wydobywającą się częstokroć na jaw śmiałość koncepcji malarskiej. Lecz z tego wszystkiego wystawa pokazała tylko strzępki. Dziwnym i złośliwym trafem wydobyła na jaw właśnie to co może świadczyć o zależności od wpływów niemieckich i francuskich, a zatarła i ukryła to, co jest swoiste, oryginalne, węgierskie.

Stefanja Zahorska.

ANEGDOTY

Na przedstwieniu „Oblubienicy z Messyny" Schillera Maks Brod zauważył, że sztuka ta nadaje się do propagandy przymusu paszportowego, gdyż wszystkie nieszczęścia messyńskie dają się sprowadzić do tego, że o pewnych ludziach nie wie się, kim są i skąd pochodzą.

*

Werfel mieszkał z Hasencleverem w jednym pokoju w Lipsku. Miał zwyczaj długiego spania. Do budzenia go gospodyni używała różnych sposobów: „Niech pan wstanie: Niech pan nareszcie wstanie: Pan Hasenclever napisał już trzy wiersze".

*

Niejaki Ryszard R. napisał szowinistyczną rewję, kończącą się ukazaniem Fryderyka Wielkiego. Na premjerze panował nastrój entuzjastyczny, autora wywołano. R. ukazał się i rozpoczął patrjotyczne przemówienie do publiczności, gdy wtem usłyszał następujący dialog w pierwszym rzędzie krzeseł:

— Były oficer niemiecki? — pyta się jakiś Amerykanin sąsiada.

— Gdzież tam: mały Żydek z Wiednia... — brzmi odpowiedź.

R. urwał natychmiast.

*

W pewnem gimnazjum niemieckiem odbywa się uroczystość na cześć Pestalozziego. Przemawia nauczyciel: „Pestalozzi był dla swych uczni nauczycielem, wychowawcą i ojcem". Nagle przerywa, zwracając się do jednego z uczni: „Pahler, łotrze, jeżeli wydaje ci się to śmieszne, wynoś się z klasy. Obrzydła mi twoja fizjognomja".

I mowa o Pestalozzim trwa dalej...

*

Pewien literat zawarł umowę z dziennikiem na dostarczanie co tydzień sensacyjnych historyjek. Kiedyś zbrakło mu tematu. O swem zmartwieniu opowiedział przyjacielowi. Ten wpadł na doskonały pomysł: zaprowadził literata do szynku, gdzie zbierały się męty miejskie. Tu za 10 marek (honorajum za opowiadanie wynosiło 50) znany złodziej kieszonkowy zreferował jedną ze swych „przygód". Literat opracował ją i przesłał do dziennika. Jakież było jego zdumienie, kiedy nazajutrz odesłano mu rękopis z powrotm, z zaznaczeniem, iż nie spodziewano się po nim tak zuchwałego plagjatu: „przygoda" ukazała się poprzedniego tygodnia w piśmie konkurencyjnem. A złodziej poprostu wziął ją stamtąd, zadowolony, że wreszcie zarobił „uczciwie" 10 marek.

*

Na premjerze jakiejś nudnej sztuki słychać w pierwszych rzędach krzeseł chrapanie. Nagle na galerji ktoś mówi na cały głos:

— Panie, niech pan tak nie chrapie, obudzi pan cały teatr.

KORESPONDENCJA

O „PRZYMIERZE Z DZIECKIEM"

Do redaktora „Wiadomości Literackich"

Pan Stefan Napierski w recenzji o „Przymierzu z dzieckiem" („Wiadomości Literackie", nr. 172) skwalifikował tę książkę jako „dokument wychylony poza literaturę" oraz stwierdził, że dla omawianej autorki „sztuka wogóle nie istnieje".

Konstatacje te stwarzają konieczność pewnego sprostowania.

Inne bowiem są prawa reakcji na krytykę dla autora książki *artystycznej,* a inne dla tego, który podpisuje swojem nazwiskiem *„dokument",* będący „głosem pokolenia".

Sygnator dokumentu, pozbawionego cech świadomego artyzmu, ma prawo — *w imię odpowiedzialności społecznej* — żądać, aby postaciom jego książki nie imputowano charakteru, sprzecznego z *wyraźną* intencją tegoż sygnatora.

Wychodząc z powyższego założenia stwierdzam:

Teresa nie jest *„suką,* rodzącą z wzniosłym bezwstydem" — jest *kobietą,* przeżywającą świadomie (a więc właśnie *po ludzku)* swoje macierzyństwo.

Nerwy „różowe i gnijące" nie przeszkodziły jej w przetworzeniu swoich bolesnych doznań na postawę *moralną wobec społeczeństwa:* przymierze z dzieckiem.

Ta właśnie nawskroś *moralna* postawa Teresy zmusza mnie do odrzucenia aplauzu p. Napierskiego za rzekomy — chwalebny — brak „ideału" w mojej książce.

Ośmielona faktami, że „Wiadomości" 1)zamieściły impresję p. Wielopolskiej, gdzie „Przymierze" nazwane zostało „Polskiem Betleem" i 2) wzięły mnie, jako „świadomego swych zadań artystę" w obronę przeciw zarzutom pani Zuzanny Rabskiej, mam nadzieję, że i tym kilku wierszom rzeczowego wyjaśnienia na marginesie recenzji bardzo subjektywnej „Wiadomości" nie odmówią druku.

Marja Kuncewiczowa.

*

W. B. w Poznaniu. Nie skorzystamy.

Z. H. w Krakowie. Wiersze słabe.

Św. K. w Łodzi. Nie będziemy drukowali.

W. A. w Wilnie. Nie do druku. Artykuł o „Śnie" musielibyśmy przedtem przeczytać.

St. E. Dm. w Gdyni. Termin konkursu już upłynął. Ogłoszony był w nr. 159.

E. C. Prosimy po pewnym czasie znowu o wybór wierszy. Z nadesłanych nie możemy jeszcze skorzystać.

K. Bud. Nie skorzystamy.

Tydzień bibljograficzny

rejestruje całkowitą produkcję wydawniczą następujących firm: H. Altenberg, M. Gebethner i Wolff, F. Hoesick, W. Jakowicki, Krakowska Spółka Wydawnicza, Arct, „Bibljoteka Polska", Ludwik Chomiński, Wacław Czarski i S-ka, „Czytaj", Książnica - Atlas, Jakób Mortkowicz, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Bernard Połoniecki, „Renaissance", Trzaska, Evert i Michalski, Wojskowy Instytut Naukowo - Wydawniczy

HISTORJA LITERATYRY, KRYTYKA ESTETYCZNA

Zdzisław Dębicki. Portrety. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927; str. 324 i 4 nl. Zł. 7.—Charakterystyki następujących pisarzy: Świętochowski, Weyssenhoff, Sieroszewski, Przybyszewski, Berent, Kasprowicz, Przerwa-Tetmajer, Staff, Or-Ot, Strug, Nowaczyński, Rodziewiczówna, Bartkiewicz, Miriam, Lange, Lemański.

Z Historji i Literatury. *Mieczysław Hartleb.* Nagrobek Urszulki. Studjum o genezie i budowie „Trenów Kochanowskiego. Kraków, Krakowska Spółka Wydawnicza, 1927; str. 158 i 2nl. Zł. 6.60.—Autor wychodzi z założenia, że „Treny" „nie są utworem jednolitym, przynajmniej w tem znaczeniu, jakie uznawał smak XVI w., szukający w poezji przedewszystkiem formy skoncentrowanej i harmonijnej".

Manfred Kridl. Literatura polska wieku XIX. Podręcznik dla szkół średnich. Część II. Od wystąpienia Mickiewicza do powstania listopadowego (1822 — 1830). Wydanie drugie. Warszawa, M. Arct, 1927; str. 172 i 4 nl. Zł. 4.50.—Część III. Literatura na emigracji. Tamże; str. 343 i 3 nl. Zł. 9.—. W cz. II mamy omówione początki twórczości Mickiewicza oraz twórczość Malczewskiego, Goszczyńskiego i Zaleskiego, w cz. III — twórczość Mickiewicza dojrzałego, Słowackiego, Krasińskiego oraz Goszczyńskiego i Zaleskiego po r. 1831.

Księga pamiątkowa ku czci Tadeusza Dąbrowskiego pod redakcją *Jerzego Eugenjusza Płomieńskiego.* Współpracownicy: *Józef Birkenmajer, J. Al. Gałuszka, Juljusz Kleiner, Edward Kozikowski, Fr. Mirandola, J. E. Płomieński, Emma Roszyncówna, Julja Dickstein-Wieleżyńska, Emil Zegadłowicz.* Warszawa, F. Hoesick, 1927; str. 107 i 5 nl. i tabl. 1. Zł. 3.—Kleiner pisze o Dąbrowskim jako o pionierze krytyki tekstu, Płomieński jako o krytyku literackim, Birkenmajer o studjum o „Królu - Duchu", Wieleżyńska o stosunku do kina, reszta poświęca mu dłuższe lub krótsze wspomnienia.

POWIEŚĆ, NOWELA

Ferdynand Goetel. Z dnia na dzień. Wydanie drugie. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927; str. 320. Zł. 5.50.—Powieść Goetla zdobyła sukces nietylko w Polsce: w chwili obecnej jest tłumaczona na szereg języków europejskich.

Kornel Makuszyński. Ponure igraszki. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927; str. 283 i 5 nl. Zł. 5.—Na tom składają się następujące cykle: „Najpierw ponure", „Kwiaty na grobach", „Przypisy do kalendarza", „Rady praktyczne dla młodych i starych", „Igraszki", „Musi być coś o Zakopanem", oraz „Jedno słowo kochającej kobiety" i „Gołe nieszczęście— historja bardzo rzewna".

Zofja Nałkowska i *Marja Jehanne Wielopolska.* Księga o przyjaciołach. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927; str. 178 i 6 nl. Zł. 4.50.—Na tom składają się następujące opowiadania Nałkowskiej: „Górki", „Mały zając", „Kania", „Blutek i kania", „Duży zając", „W namiocie", „Diana", „Sarna", oraz Wielopolskiej: „Samowarki", „Rojza", „Owce", „Buldożka", „Barsoj", „Innocenz", „Święty Makary Starszy", „Goście", „Samotność".

Eliza Orzeszkowa. Pisma. Wydanie zbiorowe zupełne ze wstępem *Aurelego Drogoszewskiego.* Tom XXIV. Dwa bieguny. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927; str. 188. Zł. 4.—Jedna z najświetniejszych, najsubtelniejszych powieści wielkiej pisarki.

Ewa Szelburg. Polne grusze. Powieść nagrodzona na konkursie „Świata Kobiecego". Lwów, Bernard Połoniecki, 1926; str. 263 i 1 nl. Zł. 3.—Jeden z najciekawszych talentów w młodem pisarskiem pokoleniu kobiecem.

POEZJA

Aleks. Maliszewski. Władysław Sebyła. Poezje. Okładkę projektował *Bolesław Surało.* Warszawa, 1927; str. 30 i 2 nl. Zł. 1.50. Cykl Maliszewskiego nosi tytuł „Oczy — usta — serce", Sebyły — „Modlitwa".

UTWORY DRAMATYCZNE

Bibljoteka Narodowa. Serja II. Nr. 46. *T. M. Plautus.* Kupiec (Mercator). Przełożył i opracował *Gustaw Przychocki.* Kraków, Krakowska Spółka Wydawnicza, 1927; str. 97 i 7nl. Zł. 1.50.—Wstęp analizuje komedję i jej wpływ literacki.

Stanisław Przybyszewski. Mściciel. Dramat w 3 aktach. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927; str. 73 i 1 nl. Zł. 8.80. — Ostatni utwór Przybyszewskiego; grany był niedawno w Teatrze Narodowym.

FILOLOGJA, NAUKA JĘZYKÓW

Tadeusz Lehr - Spławiński i *Roman Kubiński.* Gramatyka języka polskiego. Podręcznik szkolny. Z 19 rycinami w tekście, tablicą i mapą narzeczy. Lwów, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, 1927; str. 4 nl. i 177 i 1 nl. i tabl. 1. Zł. 5.40. — Podręcznik obejmuje głosownię, naukę o wyrazach, ich znaczeniu i formie, oraz składnię.

HISTORJA, PAMIĘTNIKI, POLITYKA

Tadeusz Dąbrowski. Uśmiech wojny (pamiętnik wojenny). Z przedmową *Jerzego Eugenjusza Płomieńskiego.* Warszawa, F. Hoesick, 1927; str. 94 i 2 nl. i tabl. 1. Zł. 3.—Cenny przyczynek do dziejów Polski w pierwszych tygodniach wielkiej wojny, skreślony piórem przedwcześnie zmarłego wybitnego krytyka i publicysty, obserwatora chłodnego i objektywnego.

Józef Gluziński. Taniec i zwyczaj taneczny. Lwów, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1927; str. 4 nl. i 227 i 5 nl. Zł. 7.50.—Tom, ozdobiony licznemi rycinami, obejmuje następujące rozdziały: „Niektóre tańce i zwyczaje taneczne ludów pierwotnych", „Psychologiczne motywy tanecznego popędu", „Święty szał", „Taniec i zaraza taneczna w epoce średniowiecza", „Dwie legendy o tańcu", „O tańcach wyuzdanych", „Taneczna kasta", „Ceremonjał taneczny i jego nauczyciele".

Największa hurtownia księgarska
W POLSCE
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
Sp. Akc.
WARSZAWA, Plac Trzech Krzyży 8
Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je w komis do księgarzy w całej Polsce.
WYDAJE PISMO REKLAMOWE
KURJER KSIĘGARSKI

PRENUMERATA z przesyłką zł. 9.— kwartalnie, zagranicą 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota nr. 8 m. 5. tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Boduena 1, m. 2, tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—18, w sobotę od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515.

Odbito w drukarni „Rola" J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI